

Nr 20 (4366)
25-26. I. 58 r.

TRYBUNA ROBOTNICZA

12 stron
CENA
1 złNAGŁAD
372348 egz.

MAGAZYN NIEDZIELNY

ORGAN KW POLSKIEJ ZJEDNOCZONEJ PARTII ROBOTNICZEJ

27. I. 1945 r. Katowice-wolne!

Konkretna praca - najlepszym poparciem linii VIII Plenum

Wielki wiec przedwyborczy w Hali Parkowej

Tow. Edward OCHAB
wśród młodzieży
Śląska i Zagłębia

Wczoraj w katowickiej Hali Parkowej odbył się wielki przedwyborczy wiec młodzieży, członków ZMS, ZMW, ZHP i młodzieży niezorganizowanej, przybyłych z kopalń, szkół i zakładów pracy.

Długotrwałymi oklaskami i serdecznymi okrzykami powitała młodzież przybyłych na wiec tow. Edwarda OCHAB, tow. Edwarda GIERKA i innych gości. W prezydium zasiadli: członek Biura Politycznego KC PZPR minister rolnictwa i lasów tow. Edward Ochab, sekretarz KC i I sekretarz KW PZPR tow. Edward Gierek, sekretarz KW PZPR tow. Jerzy Lamuza, tow. Jerzy Gutman, tow. Jan Szydłak, przewodniczący Prezyd. Wojewódzkiej Rady Narodowej tow. Ryszard Niesporek, I sekretarz KW ZMS tow. Wiesław Kiezan, przewodniczący ZMW Czesław Micuła, Komendant Katowickiej Chorągwi ZHP Józef Haenzel, oraz serdecznie witany Budowniczy Polski Ludowej, poeta Władysław Broniewski.

Głos zabiera członek Biura Politycznego tow. Edward Ochab, który nawiązuje tradycje ruchu młodzieżowego i wkład pracy młodzieży w budowę socjalistycznej Polski. Omawiając aktualną sytuację polityczną i gospodarczą kraju, tow. Ochab sumuje dotychczasowe osiągnięcia, nie kryjąc istniejących jeszcze trudności.

Rząd gwarantuje sobie wysiłek i poświęcenie, aby one automatycznie przyniosły zwycięstwo, czego dowodem był burzliwy wzrost płac na przestrzeni ostatnich dwóch lat. Dalej poprawa zarobków nie może być osiągnięta, nie kryjąc istniejących trudności.

Na trybunę wchodzi Władysław Broniewski, który przemawia do młodzieży językiem poezji. Długotrwałymi oklaskami po dziękuję młodzieży, który zawsze stał po stronie postępu, apeluje do młodzieży, by również i obecnie szeroko popierała idee Frontu Jedności Narodu, by wzięła całą wolę i młodzieńczy entuzjazm do realizacji państwowych zadań programu państwa.

Wice królowi odczytanie rezolucji. Rezolucja głosi, że reprezentanci młodzieży Śląska i Zagłębia, zrzeszeni w ZMS, ZMW i ZHP wyrażają swoje pełne poparcie dla kandydatów Frontu Jedności Narodu.

Włodzimierz Janiurek i Wilhelm Szewczyk
— postowie na Sejm PRL

Jak pozbyć się ciężaru wieków?

Przeszłość Śląska, jego swoistość społeczno-polityczna, jak również wynikające stąd konsekwencje i wskazówki dla praktycznego działania — stają się ostatnio coraz częściej przedmiotem wnikliwych dociekań i rozważań kierownictwa wojewódzkiej organizacji partyjnej oraz Wojewódzkiej Rady Narodowej.

Ten pozytywny ze wszech miar fakt skłonił autorów niniejszego artykułu do przedstawienia swoich poglądów na niektóre wybrane kwestie z zakresu problematyki śląskiej.

SKOMPLIKOWANE procesy historyczne, jakie działy się na Górnym Śląsku, wytworzyły tak zwaną specyfikę regionalną. Odnosi się ona zarówno do dziedziny społecznych, kulturalnych, jak i narodowościowych. W roku 1945 jednocząc — tym razem trwale — cały Śląsk z Polską, niechętnie powoływaliśmy się na istnienie owej specyfiki. Jedną z przyczyn, że jej nie znaliśmy, druzdy — pod wpływem doraźnych, szybko przemijających celów propagandowych. A przecież codzienna praktyka życia przetrwała wyidealizowaną uspokajającą tezę, że Śląsk, przeżywszy swój największy historyczny moment, jest już bez reszty integrowany w organizm polski, że między nim a innymi regionami tzw. starej Polski (w czym kryła się zresztą interesująca sprzeczność, ponieważ właśnie Śląsk był przez historię polskich minionych wieków nazywany starą Polską, przez co podkreślali oni nasz odwieczny autochtonizm na ziemi śląskiej) nie ma już żadnej różnicy. Było to piękne hasło i wszyscy nie pragnęliśmy niczego bardziej, jak jego odbicia w codziennej rzeczywistości. W istocie jednak tak dobrze jeszcze wówczas nie było.

Odzyskaliśmy Śląsk razem z wielkim ciężarem wieków, które na dziejach Śląska, na dziejach ludu położyły swój wielki, często złowrogi cień. Trzeba przyznać dzisiaj, — a nie będzie to dla nas stanowilo żadnej ujemy — że o ile politycznie cały nasz naród doskonale rozumiał wagę owego ostatecznego po-

łączenia Śląska z Macierzą, o tyle do praktycznej realizacji tego historycznego zadania w szczegółach nie bardzo byliśmy przygotowani. Okres okupacji nagromadził w sercach rodaków wiele uprzedzeń w stosunku do Ślązaków. Niektóre z nich były w pewnym sensie uzasadnione — zwłaszcza, że renegaci i zdrajcy także czasem lubili się nazywać Ślązakami — inne były pełne niesprawiedliwych, lekkomyślnych uogólnień. Wynikało to wszystko z małej znajomości spraw śląskich w narodzie polskim.

Przez długie lata bliższe sercu burzliwych wladców Polski sanacyjnej były tak zwane wschodnie kresy, niż linia Odry. Owi też wladcy korzystając z władzy, jaką w kraju posiadali, robili wszystko, by świadomość narodowa za ważniejsze uważała drobne i haniebne często targi o ukraińskie czy białoruskie wsie, niż troskę o rodzimych żywił polski na Opolszczyźnie. Ta część Górnego Śląska, która należała do Polski międzywojennej, była widownią szczególnej kapitalistycznej eksploatacji, której przeciwstawiła się klasa robotnicza, zorganizowana w KPP, w klasowych związkach zawodowych, oraz — w danym wypadku — również i w KPD. Ta walka była podówczas zadaniem pierwszoplanowym, nie też dziwnego, że narodowe aspekty sytuacji na Śląsku wymykały się czasem z pola widzenia, stając się w pewnej mierze domeną niektórych księży czy patriotów, nie mających klasowego widzenia spraw śląskich. Stąd

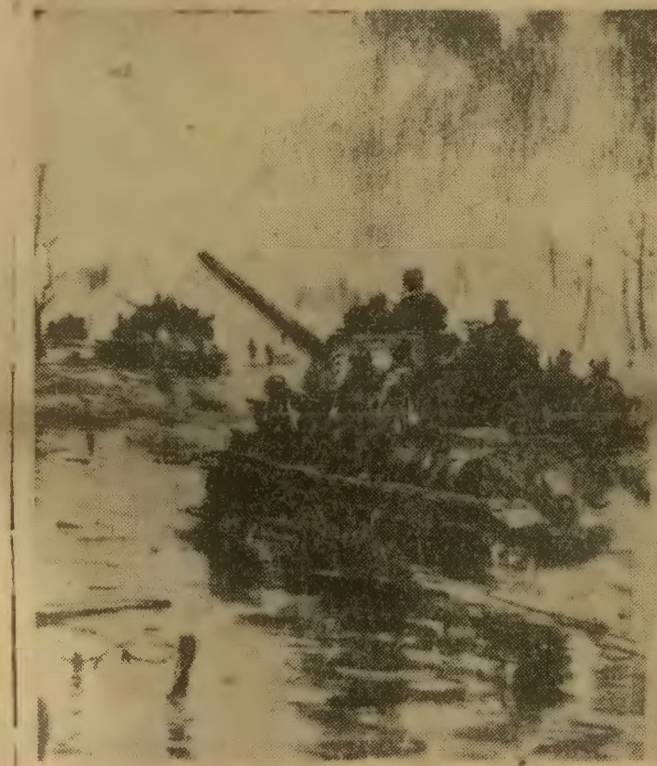
popularność Korfante'go na Śląsku, stąd chęć rozgrywkami sanacyjnych matadorów, którym na Śląsku zależało tyle, ile im zależało mogło na jego bogactwach naturalnych.

Nie jest zadaniem niniejszego artykułu komentowanie tych wszystkich rozległych sprzeczności, komplikacji historycznych i społecznych.

Nie będziemy także wracać do faktów typu dyskryminacyjnego, które miały tu i ówdzie miejsce również po II wojnie światowej, gdyż trzeba je zapisać na konto rozgorączkowania pierwszych powojennych dni i miesięcy, a następnie na rachunek tego, co przywykliśmy nazywać skrótem wypaczeniami ubiegłego okresu. Zresztą każdy człowiek nie uprzedzony przynajmniej obecnie krzywdy te są stopniowo w miarę sił i możliwości usuwane.

Zadaniem niniejszego artykułu jest odpowiedź na trudne pytanie, JAK POZBYĆ SIĘ CIĘŻARU WIEKÓW, które wycisnęły na życiu Śląska i jego ludu tak dotkliwie piętno? Stawiamy dzisiaj to pytanie bez jakiegokolwiek lęku. Możemy po dwunastu latach istnienia Śląska w Polsce Ludowej powiedzieć śmiało, że aczkolwiek nie bagatelizujemy pewnych relikwów historycznych, nie mamy najmniejszego zamiaru nadawać im tego znaczenia, które pragnie im nadać odwieczny wróg polskiego Śląska, upostaciowany dzisiaj w zachodnio-niemieckim rewizjonizmie.

(Dokończenie na str. 3)



Przed 13 laty wraz z mroźnymi podmuchami styczni dochodziły do nas groźne, a jakże upragnione odgłosy zbliżającego się frontu. Ścigająca hitlerowskie wojska — Armia Radziecka i polskie dywizje wkraczały na ziemię śląską niosąc jej ludowi wolność. Miasta i osiedla śląskie pokrywały się biało-czerwonymi i czerwonymi sztandarami. W kopalniach, hutach i fabrykach robotnicy rozpoczynali uruchamianie produkcji, czekał na nią cały wyzwolony kraj.

27 stycznia 1945 roku oddziały radzieckie wyzwoliły Katowice.



Katowice witają polskich żołnierzy. Foto: Archiwum

Postępy medycyny pozwolą z pewnością większości z żyjących dziś ludzi dożyć dwutysięcznego roku. Czegoż mogą się wówczas spodziewać? Jak będą żyli? Gdzie znajdą źródła zaspokojenia stałego rosnącego zapotrzebowania na energię? Takie i tym podobne pytania nurtują z pewnością wielu. — Spróbujmy na nie odpowiedzieć, posługując się przy tym wypowiedziami uczonych radzieckich i amerykańskich.



PROF. SZENT - GYRGYI
LAUREAT NAGRODY
NORLA Z FIZJOLOGII
(USA).

„W ciągu ostatniego stulecia fizyka i chemia zrobiły ogromny krok naprzód. Pozostało nam jednak do wykrycia wiele tajemnic. Nie wiemy na przykład, jak stworzyć sztuczne życie, nie wiemy, jak przebiega w nas proces myślenia, nieznana nam jest tajemnica moc przemieniająca zarodek w człowieka. Ale rozwój nauk umożliwił nam już zbadanie budowy atomów i poznanie elek-

tronów. Sądzę, że wielkie odkrycia biologiczne przyszłych lat będą owocem dotychczasowych badań, gdyż jestem głęboko przekonany, że nawet najsubtelniejsze zjawiska życia wyjaśnić można działaniem nie atomów, a elektronów. Lepiej więc zrozumiemy życie i lepiej będziemy zwalczać wszystkie choroby. Być może uda nam się nawet przedłużyć życie ludzkie, a przynajmniej sprawić, by człowiek do końca życia zachowywał młodość”.

(Dokończenie na str. 8)

RAYMOND CHANDLER

tajemnica jeziora

SYM. ADAM KASKA

RAYMOND CHANDLER urodził się w Chicago, ojciec jego był Amerykaninem, matka Irlandką. Kształcił się w Anglii, następnie we Francji i Niemczech. Pracował w różnych zawodach, był nauczycielem, żołnierzem, dziennikarzem. Pisał krytyki literackie, eseje, wiersze i powieści. Od 20 lat mieszka w Kalifornii, która stanowi tło jego powieści. „Tajemnica jeziora” jest jedną z jego najbardziej znanych powieści detektywistycznych.

(Powieść — str. 11)

- Osiągnięcia Polski Ludowej na Śląsku są osiągnięciami trwałymi.
- polskość Śląska, potwierdzona przez wielką walkę jest faktem nieodwracalnym.
- charakter Śląska w Polsce Ludowej, określany mianem kuzni socjalizmu, jest wartością pomazaną stałą w codzienną wspólną pracę, wartościową dla całej naszej klasy robotniczej całego narodu polskiego, a w dalszej perspektywie — całego obywateli socjalistycznej.

Na tych trzech niewzruszonych elementach zasadza się nasza wiara i przekonanie, że to, co nazywamy ciężarem wieków, ciężarem niezawinionym zresztą przez naród polski, zniknie z obrazu Śląska.

Trudno w jednym artykule zająć się wszystkimi problemami. Ograniczamy się na razie głównie do niektórych, wybranych zagadnień społecznych i kulturalnych.

CZY ISTNIEJE RECYDYWA NIEMIECZYZNY?

Nie oszukujmy się. Istnieje. Istnieje między innymi dlatego, że nie uwzględniamy w latach minionych tak zwanej specyfiki, rozprawialiśmy się z niedobitkami wojującego nacjonalizmu czy hitlerizmu nie zawsze dość skutecznie. Istnieje także i dlatego, że propaganda, płynąca na Śląsk z Niemiec zachodnich, z kół rewizjonistycznych, jest dość wyrafinowana w środkach i umiejętnie wykorzystując nasze własne pomyłki i zaniedbania, w świadomości niektórych jednostek hamowała proces repolonizacji, proces usuwania cieni, lecz jadowitej warstwy niemieckich nalciałości, nagromadzonych w ciągu wielowiekowej niewoli Śląska.

Trzeba tu jednak od razu powiedzieć, że na Górnym Śląsku — a więc mamy tu na uwadze również i obszar Opolszczyzny — nie ma zwartej mniejszości niemieckiej. Ci z mieszkańców Śląska, których można było za Niemców, opuścili tę ziemię. W wypadkach nielicznych jednostek sprawy te są jeszcze załatwiane. Stwierdzając to pragniemy ostrzec przed utożsamianiem tej sprawy z tak zwaną akcją łączenia rodzin. W ramach akcji łączenia rodzin wyjechało z Polski sporo osób pochodzenia i narodowości polskiej. Często trudno temu było zapobiec, ponieważ ludzkie, zwłaszcza starsi, pozbawieni odpowiedniej opieki materialnej w naszym niezbitym zasobnym państwie, posiadali za Odrą czy za Łabą zamowne rodziny i byłoby niesłuszne uniemożliwić im taki wyjazd. Co innego w akcji łączenia rodzin, w organizowaniu której trzeba się kierować również kryteriami ekonomicznymi, a zupełnie co innego normalny proces repatriacyjny tych Niemców, których zastaliśmy w roku 1945 na Śląsku.

Niezależnie jednak od owej akcji repatriacyjnej zostają na Śląsku z sobą tylko wiadomości powodów ludzkie, którzy bynajmniej nie lękać się polskości. Z ich strony wynikały te trudności, które nazywamy recydywą niemieczyny. Zająmą oni czasem miejsce stanowiska urzędowe i potrafią to umiejętnie wykorzystywać. To oni całkiem bezczelnie próbują wprowadzać do urzędów polskich język niemiecki w rozmowach z niektórymi petentami. To oni często stają się siewcami niechęci i antagonizmów dzielnicowych, zwłaszcza u tych ludzi, nad którymi panują z tytułu swych funkcji urzędowych.

Natomiast cennie się pod pióro pytanie: Co robimy my wszyscy, my, to znaczy władze państwowe, nasz aparat przynus, działacze społeczni i gospodarczy oraz całe społeczeństwo — rodzime i napływowe, aby tłumić w zarodku i do końca owe prowokacyjne i bezcelne podrygi zagubionych niedobitków hakaty? Obawiamy się, że niewiele. Czy to czasem nasz liberalizm i zobojętnienie nie przyczyniają się do rozruchowania owych elementów? Chyba tak. A więc potrzebne jest maksymalne wyczerpanie społeczeństwa i władz na wszelkie przejawy antypolskiej działalności, potrzebna jest zdecydowana i energiczna reakcja na każdy tego rodzaju fakt, niezależnie od tego, kto i gdzie go wywołuje.

Odrębnym zagadnieniem jest publiczne używanie języka niemieckiego. Nie jesteśmy nacjonalistami. Nie walczymy z językiem niemieckim, z językiem wielkich humanistów, Goethego, Schillera i Heinego, Marksa i Engelsa, z językiem Ernsta Thaelmanna i Wilhelma Piecka. Walczymy jednak będziemy z prowokacją, a bardzo często język niemiecki, używany bez naturalnej potrzeby w urzędzie, w sklepie czy na ulicy jest widownym znakiem takiej antypolskiej prowokacji, znakiem antypaństwowości demonstracji politycznej.

Tu lekka pretensja do naszych władz sądowych. Wydaje nam się, że niektóre wyroki w sprawach, które dotyczą właśnie nacjonalistycznej prowokacji antypolskiej (w najszerszym znaczeniu tych słów) na Śląsku, były zbyt łagodne. Nie apelujemy o barbarzyńską surowość, jaką ujawnia na Śląsku jurysdykcja niemiecka a szczególnie hitlerowska, ale właśnie w imię naszej walki o pełną integrację Śląska w Polskę Ludową zdobycie sprawy, związane z jedną z antypolskich demonstracji i z drugiej z wielkopolskim, szowinistycznym, pogardliwym stosunkiem do Śląska i Ślązaków — bo i takiego u nas brakuje.

Nie bez powodu wspomnieliśmy tu o szowinizmie antyśląskim. Trafiają się bowiem w naszym województwie ludzie, którzy z sobie tylko wiadomych pobudek niechęć do Ślązaków uważają nieomal za oznakę dobrego tonu. Nazywają oni Ślązaków pogardliwie „hansami”, patrzą złym okiem na forsowaną przez partię służącą politykę kształcenia i wysuwania ludzi miejscowego pochodzenia na kierownicze stanowiska państwowe i gospodarcze — gdzie mogą, usiłują zmniejszyć efekty tej polityki.

Ludziom tym trzeba powiedzieć: Zło się bawicie! Szowinizm antyśląski, lekceważący stosunek do ludu śląskiego, który przez sześćset lat katorżniczej niewoli zachował polską mowę, polskie tradycje i polskie serce. Jest działaniem przeciw Polsce, oznacza niezależnie od intencji wodę na młyn niemieckiego rewizjonizmu i jako

taki musi podlegać publicznemu osądowi i ukaraniu.

Recydywa niemieczyny na Śląsku zawsze ma charakter antysocjalistyczny. Aczkolwiek nie jest to zjawisko masowe — tak jak zresztą nigdy niemieczyna nie była na Śląsku masowa, mimo szalone wysiłki germanizacyjne, o czym świadczą mogą jeszcze pruskie tabele narodowościowe a później wyniki plebiscytu, zwłaszcza w tej części Górnego Śląska, która wchodzi w skład województwa katowickiego — wymaga ono wszechstronnych środków zapobiegawczych od ofensywnego planu kulturalno-społecznego do środki prawne w wypadkach działalności antypaństwowej.

SZKOLNICTWO NA FRONCIE

W pracy naszej szczególną uwagę zwrócić musimy na rolę szkoły. Jeżeli dziś ze wzruszeniem wspominamy działalność szkół polskich na Opolszczyźnie, a zwłaszcza jednorazowy wysiłek gimnazjum polskiego w Bytomiu — to przede wszystkim dlatego, że szkołom tym zawdzięczamy uratowanie przed zagładą najlepszej części młodzieży śląskiej. To samo da się powiedzieć o pracy nauczycieli polskich na Śląsku w okresie międzywojennym. Dzięki niej przeszło przez patriotyczną szkołę polską jedno, nieskazane nacjonalizmem niemieckim pokolenie Ślązaków, pokolenie ludzi, których dzisiaj widzimy w

my postulat utworzenia — kiedy tylko warunki na to pozwolą — Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Sprawa ta odzywa raz po raz i potem przysycha na papierze na długie miesiące. Wielki akademicki ośrodek nauk humanistycznych to jeden z podstawowych czynników w naszej pracy repolonizacyjnej. Rozumiemy trudności natury finansowej. Ale w wielu toczonych tu na ten temat dyskusjach zastanawiano się, jak z trudności tych wybrnąć zwycięsko. Bez pomocy państwa naturalnie nie obejdzie się. Chodzi jednak o to, by pomoc ta nie była wyłącznym źródłem, umożliwiającym powstanie takiego ośrodka.

Nie jest to postulat na dzisiaj. Ale jutro już — trudno określić dokładny czas, byle jak najwcześniejszy — winien on być zrealizowany.

Przed paru tygodniami ukazała się na łamach „Trybuny Robotniczej” informacja, według której Śląska Akademia Medyczna ma zostać przeniesiona z Zabrze do Katowic. Niedawno podobną informację wraz z uzasadnieniem zamieściła „Trybuna Ludu”. Notatka „Trybuna Ludu” zaczyna się od słów: „Dyskusja nad lokalizacją Śląskiej Akademii Medycznej dobiegła końca”. Bardzo chcielibyśmy się dowiedzieć, co to była za dyskusja i czy poddano ją chociaż kontroli opinii publicznej i na jakiej podstawie dobiegła ona końca, skoro właściwie wcale się nie zaczęła. — Naszym zdaniem prze-

propagandy polskości, oraz zwalczania zachodnio-niemieckiego rewizjonizmu. Jesteśmy może zanadto niecierpliwi, ale i sprawa, której wysłuchujemy, nie lubi czekać na zbyt długie dywagacje naukowe. Plan pracy Instytutu Śląskiego, poza monumentalnym wydawnictwem źródeł do powstania śląskich i plebiscytu, jest raczej planem cennych przyczynków, niż ofensywnym planem naszej nauki o polskim Śląsku. Nie może także Instytut zrezygnować z obowiązku aktualnych polemik, aktualnych interpretacji zjawisk, którym gdzieś tam w świecie wrogowie polskiego Śląska wyznaczają inne, fałszywe proporcje. Uważamy przy tym, że Instytut nie może przesadzać w skromności celów i środków. Wszelkie umotywowane akcje naukowe Instytutu, które dopomogą nam do rozwikłania różnych trudności aktualnych, które sycić będą potrzebą przekształcić świadomość ludzką, na pewno spotkają się z pomocą.

Byłoby rzecz cenna, żeby Śląski Instytut Naukowy porządził szeroka działalność organizatorską. Chodziło by w pierwszym rzędzie o utworzenie grup roboczych w Rybniku, Cieszyźnie, Tarnowskich Górach, w Gliwicach lub w Bytomiu, oraz w Bedzinie. Powinno to być w zasadzie jednostką pogłębioną względami samodzielnymi, korzystającą z sił miejscowych pracowników naukowych i z miejscowych źródeł. Ich praca znacznie wzmocniłaby udział Instytutu na froncie badań naukowych i w

niemca „Śląsk”, tak, jak stanę się nią chyba inaugurowana nareście biblioteka klasyczna imienia Karola Miarki. Nie będziemy się już szerzej rozwodzić nad postulatami pod adresem radia i telewizji. Jak dotąd wydaje nam się, że zabrakło dopiero telewizji dość energicznie zabrała się do propagowania tych związków Śląska z Polską, które wyrażają się w kulturze.

O NICH MUSIMY PAMIĘTAĆ

Niedawno pracownicy redakcji „Trybuny Robotniczej” odwiedzili kilkudziesięciu byłych uczestników powstań śląskich i ich rodziny. Chodziło nam o ustalenie, w jakich warunkach materialnych żyją ludzie, którzy dla walki o polskość Śląska ponieśli ofiary największe, którzy — wybaczyć nam ten patos — na ołtarzu Ojczyzny złożyli daninę krwi.

Wyniki tej załprowizowanej „inspekcji” nie wypadły niestety pomyślnie. Większość ludzi, z którymi rozmawiano, żyje od wielu już lat w różnym niedostatkach. Pewnie, główną przyczyną była tutaj, ciągnąca się od długiego czasu, trudna sytuacja gospodarcza, finansowa i materialna kłopoty naszego zniszczonego wojną kraju. Z drugiej strony jednak, powiedzmy to sobie otwarcie, można było coś niecoś zrobić, chociażby w trybie doraźnym, o mocy już tu na miejscu, dla ulżenia starczej doli kombatantów śląskich. Możliwości tych jednak nie wykorzy-

wypróbowany w bojach patriotycznych, to ludzie, którzy krwią serdeczną i udokumentowali swoją miłość do Polski. Pragnielibyśmy ich widzieć ciągle jeszcze w akcji społecznej, w pracach Towarzystwa Rozwoju Ziemi Zachodnich. Chcielibyśmy ich widzieć w szkołach, by razem z uczestnikami walk rewolucyjnych opowiadali młodzieży o tym, jak rozdziła się i zwyciężyła Polska na Śląsku, w jakich walkach dokonywali się początki wielkiej, historycznej przemiany.

Powstania śląskie, to uzasadniony powód do patriotycznej dumy. Były one nie tylko ukoronowaniem długoletniej walki ludu śląskiego z germanizacją, walki o prawo do polaczenia się z Polską. Były też powstania rzeczywiście szerokie i rzeczywiście masowe ruchem zbrojnym, który skupił w swoich szeregach dziesiątki tysięcy ludzi z różnych warstw społecznych i różnych obozów politycznych. Przeważali w szeregach powstańców robotnicy, ale byli w nich również przedstawiciele inteligencji i chłopstwa. Kompanie powstańcze składały się z ludzi o różnych zapatrywaniach światopoglądowych, o różnym stosunku do religii, nawet o różnych zapatrywaniach ustrojowo-politycznych. Obok członków organizacji chrześcijańskich, brali w nich udział również późniejsi wybitni działacze komunistyczni i socjalistyczni; wystarczy tu wspomnieć chociażby wybitnego rewolucjonistę śląskiego, Józefa Wieczorka.

Przeważał oczywiście w wojsku powstańców element miejscowy — Ślązacy, ludzie z Katowic, z Rybnika, z Gliwic, z Toszka, z Opola itd. Ale nie brało w nim również — jest to rzecz godna uwagi — ochotników z Zagłębia Dąbrowskiego z ziemi krakowskiej, z Poznania i Łwowa oraz z centralnych województw Polski. Ludzie ci, wbrew niechętnemu stosunkowi ówczesnych sfer rządzących do powstań śląskich, przechodzili nielegalnie granicę i razem z braćmi Ślązaki stawali w wspólnym antyniemieckim i antykapitalistycznym froncie. Miały więc te powstania, obok aspektów podkreślonych już przez wielu historyków, jeszcze jedną, podstawową naszą zdaniem, cechę: były areną współdziałania patriotów z różnych dzielnic i różnych części Polski w zbrojnej walce ze wspólnym wrogiem. Warto o tym pamiętać, zwłaszcza teraz, kiedy w województwie naszym mieszkają i pracują obok Ślązaków i Zagłębiaków, którzy z dzieła, pradziada korzeniami wrośli w tę ziemię, również tysiące ludzi z innych części kraju, kiedy konsekwentne zaczerpanie różnic dzielnicowych i cementowanie trwałej rzeczywistości — jednośól wszystkich mieszkańców naszego województwa, na gruncie wspólnego umiłowania ziemi śląskiej, na gruncie poszanowania ludu śląskiego i jego pięknych patriotycznych tradycji, jest jednym z naszych najważniejszych obowiązków.

Umiłowanie ziemi rodzinnej nakładła do działania dla jej dobra. Świadczy o tym dobrze rozwijająca się obecnie inicjatywa społeczna, która stale przybiera na sile i dokonuje rzeczy wartościowych. Chodzi o to, by ta inicjatywa, mająca na Śląsku piękne tradycje, wywołana została całkowicie. Niech powstają komitety inicjatyw społecznej, cenne pod wieloma względami, zaangażowane nie tylko w myślenie ekonomiczne. Niech powstają towarzystwa miłośników danego miasta czy okolicy, tak jak powstało i działa znakomite towarzystwo tarnogórskie. Niech plany rozwoju Śląska powstają właśnie w tych najniższych komórkach społecznej inicjatywy. Jesteśmy przekonani, że, przedsięwziętane i udokumentowane tam właśnie, spotkają się potem z całkowitym zrozumieniem i poparciem władz wyższych. Nie dajcie chyba już do tego, że, jak przed kilkoma laty, obywateli. Wólnik pełni ciekawych pomysłów rozwojowych, zostali odprawieni z nim.

Dobrze, że o tych wszystkich problemach dyskutuje się już teraz otwarcie. Dobrze, że znalazły się one w polu widzenia władz i społeczeństwa.

Jesteśmy pełni nadziei. Problemy, które poruszyliśmy w naszym artykule, są dyskutowane w o wiele szerszym zakresie przede wszystkim przez partię, która zamierza wszystkie trudności, wynikające z tzw. specyfiki Górnego Śląska, rozwiązać zgodnie z naszym wspólnym interesem narodowym. A ten jest w obecnych warunkach historycznych jednoznaczny z interesem socjalistycznego budownictwa.

WŁODZIMIERZ JANIUREK I WILHELM SZEWCZYK

Jak pozbyć się ciężaru wieków?

(Dokończenie ze str. 1)

pożytecznej pracy dla ludowej Polski. W szkołach na pierwszy plan wysuwają się przedmioty, które nazwiemy politycznie zaangażowanymi, a więc historia, język polski, po części też geografia. Zie, że dopiero w tych dniach Ministerstwo Oświaty zdecydowało się wprowadzić do szkół śląskich dodatkowy przedmiot NAUKI O ZIEMI RODZINNEJ, a więc w danym wypadku o Śląsku. Dobrze jednak, że w ogóle wysłuchano głosu publicystów i nauczycieli w tej sprawie. Odpowiednie wykładki do podręczników już są w opracowaniu.

Wiele sobie obiecywaliśmy po tej decyzji. Będzie ona miała nie tylko swoje wielkie znaczenie dla akcji repolonizacyjnej, ale również pozwoli mocno związać ze Śląskiem, z jego historią, z jego piekny, patriotycznymi zjawiskami te młodzie, która przybyła tutaj z innych dzielnic i nie zna Śląska, a czasem nawet przejęła od rodziców różne uprzedzenia w stosunku do Śląska i Ślązaków.

Nauka o ziemi rodzinnej musi doprowadzić do tego, by śląska Wiosna Ludów czy bunt Marka z Jemielnicy były młodym pokoleniu tak samo drogie i bliskie, jak dawniejszym pokoleniom wpolone przez lekturę szkolną „Ogniem i mieczem”. Dniempro porohy i podolskie dumki.

Chodzi tylko o to, żeby decyzyja ta wykonała błaż szybko, żeby w ślad za wykładkami do podręczników poszły ma terały uzupełniające dla nauczycieli, którzy mogą mieć poważne trudności z nowym materiałem.

Zadobry się także skończyć wreszcie z anonimowością szkół na Śląsku. Numeracja porządkowa szkół jest może ważna dla władz oświatowych — uczniom jednak nie nie daje. Chcielibyśmy, żeby szkoły na Śląsku miały swoich patronów: Kościuszkę i Marka z Jemielnicy, Łomę i Szafranka, Marchlewskiego i Wieczorka, Jaronia i harcerzy gotartowickich. Umożliwiłoby to młodzieży uzyskanie dodatkowych wiadomości o poszczególnych zjawiskach z historii kultury polskiej, walk o polskość Śląska, o sprawiedliwość społeczną w naszym kraju. Dla rutynowanych pedagogów otworzyłoby się nowe atrakcyjne formy dydaktyczne, związane z jednym wybranym zjawiskiem historycznym, z kulturowaniem wiedzy o patronie szkoły.

Jesteśmy także zwolennikami premii i nagradzania nauczycieli oraz uczniów za szczególnie dobre wyniki pracy w zespole. Wyżej wymieniane przy tej okazji zanotować fakt, że dziecinie form dydaktyczne, związane z jednym wybranym zjawiskiem historycznym, z kulturowaniem wiedzy o patronie szkoły.

Jesteśmy także zwolennikami premii i nagradzania nauczycieli oraz uczniów za szczególnie dobre wyniki pracy w zespole. Wyżej wymieniane przy tej okazji zanotować fakt, że dziecinie form dydaktyczne, związane z jednym wybranym zjawiskiem historycznym, z kulturowaniem wiedzy o patronie szkoły.

Mowa tu była głównie o szkołach podstawowych i średnich. Z tych samych jednak powodów — oczywiście w zakresie o wiele szerszym — ponawia-

nieślenie Śląskiej Akademii Medycznej z miasta odzyskanego do Katowic byłoby krokiem nie dość przemysłowym i politycznie niesłusznym. Chcielibyśmy się nie bez racji, że Zabrze to jedyny robotnicze miasto w Europie, które ma tego rodzaju placówkę akademicką. W porównaniu z czasami pruskimi czy hitlerowskimi awans Zabrze i Rokitnica w ten sposób był faktem, którymi nie mogła zaprzeczyć żadna grupa propagand. Dlatego mamy wycofać się z tych pozycji? W notatce „Trybuna Ludu” czytamy rzeczy wystydliwe. A więc, że Rokitnica odciecia jest od tak zwanego świata kulturalnego. Czy przez przeniesienie Akademii Medycznej do Katowic Rokitnica i Zabrze nie stracił jeszcze więcej? Czy nie jest raczej naszym obowiązkiem zapelnienie Rokitnicy i Zabrze tą treścią kulturalną, która spowoduje, że Akademia Medyczna i jej grono profesorskie oraz reszta studentów nie będą się czuli osamotnione, jak gdyby na pustyni kulturalnej? I coż to za argument, że wszelkie uczelnie wyższe muszą być w miastach wojewódzkich i że „Śląsk jedyny w Polsce był pod tym względem wyjątkiem”? Po pierwsze jest to nieprawda, ponieważ Toruń nie jest miastem wojewódzkim, a ma swój słowny Uniwersytet. Po drugie z całej Europy można by naznaczyć przykłady, że administracyjna stolica dużego obszaru nie musi być stolicą naukową czy kulturalną. Wiele jest na świecie sławnych uniwersytetów, których siedziba są miasta nie większe od takich np. Siemianowic.

Sprawa przeniesienia Akademii Medycznej z odzyskanych terenów Górnego Śląska do Katowic wywołala poważne zaniepokojenie Społeczeństwa pragnącego, byśmy nasza polska i socjalistyczna ofensywa kulturalna na Śląsku przybiła na sile, a nie cofała się przed różnymi administracyjnymi trudnościami. Miejsmy nadzieję, że dyskusja w tej sprawie naprawdę dopiero się rozpocznie i że odpowiednie czynniki zrewidują swój pogląd na ten temat. Gdyby jednak powody przeniesienia okazały się niezwykle ważne — w co trudno jednak uwierzyć — wówczas równocześnie z przeniesieniem Akademii Medycznej do Katowic należałoby w robotniczym Zabrze powołać do życia Uniwersytet Śląski. Sądzimy jednak, że ta druga placówka powinna raczej istnieć w Katowicach, chociażby ze względu na Bibliotekę Śląską, Wyższą Szkołę Pedagogiczną i Ekonomiczną. Akademia Medyczna zaś, która przecież i tak powinna się specjalizować w chorobach zawodowych, niech nie zmienia swego miejsca. Przeciwnie, trzeba robić wszystko, by Zabrze wraz z Rokitnicą i Bytomiem wyrosło na potężne centrum kulturalne, promieniujące polską myślą, mową i wiedzą na swoje otoczenie.

Na żaden odwrót kulturalny z Ziem Odzyskanych nie możemy sobie pozwolić. Niestety, projektowane przeniesienie Akademii Medycznej tak a nie inaczej są interpretowane przez opinie publiczną, o czym świadczą m. in. protesty, jakie wpłynęły do „Trybuny Robotniczej” w tej sprawie. Jest prawda, że obecne warunki lokalowe Akademii Medycznej są więcej niż opłakane. Ale jest to chyba sprawa do rozwiązania, zwłaszcza, że dysponować można funduszami przeznaczonymi na usytuowanie Akademii w Katowicach.

Wiele spodziewaliśmy się po Śląskim Instytucie Naukowym. Jak dotąd raczej spotykały nas pewne rozczarowania. Rozumiemy dobrze: Instytut dopiero rozpoczął swoją działalność. Chce my jednak, by nie nie ronić ze swej naukowej ścisłości, Instytut włączył się bardzo szeroko i serdecznie w akcje

pracy repolonizacyjnej. Brak nam jest opracowań dziejów poszczególnych miast i regionów, monografii ważniejszych zakładów pracy, brak nam jest w ogóle tej akcji naukowo-wydawniczej, która mocno wiąże mieszkańców z ich miastem, powiatem, czy wsią. Kto wie, czy w tej chwili tego rodzaju praca nie jest ważniejsza, niż nie-dokładne próby jakichś ogólnych syntez.

Wiele pisało się ostatnio o Wydawnictwie „Śląsk”. Nowe zasady samowystarczalności wydawnictw w Polsce zmusiły niestety i to Wydawnictwo do reperowania swego budżetu przy pomocy wydawnictw lżejszego kalibru. Przykro, że tak się musiało stać. Jeżeli jednak jest to ekonomiczna konieczność, pragnielibyśmy, żeby Wydawnictwo to zarabialo na naprawdę dobrej literaturze rozrywkowej.

Duże znaczenie ma wydawana przez „Śląsk” biblioteka harserska pn „Biblioteka Szarej Lilijki”. Jednakże nie wszystkie dotąd wydawane tomy zawierają te treści, które pragnielibyśmy bez zastrzeżeń przekazać naszej młodzieży. Sądzimy, że profil tej biblioteczki oraz każda poszczególna książka będą dokładnie badane przez Wydawnictwo, by seria ta mogła istotnie spełnić swoją doniosłą rolę dydaktyczną.

Z tych samych powodów chcielibyśmy, żeby tak, jak co parę tygodni ukazuje się kryminalna książeczka z serii „Złotej Podkowy”, przy pomocy wpływów z tej serii wydawać częściej niż dotychczas, a więc co najmniej co dwa tygodnie, książkę poświęconą wielkim Ślązacom w kulturze polskiej. Po Dzierżynie i Łompię ma się w roku 1958 ukazać jedynie rzecz o Józefie Elsnerze z Grodkowa, nauczycielu Chopina. Wydaje nam się, że tempo tej serii jest zbyt powolne. Powinna być ona periodyczną reprezentacyjną serią Wydaw-

stano. Przyczyniły się do tego chyba w niemałym stopniu niektóre błędne interpretacje powstań śląskich; były przecież tacy gorliwcy, którzy — wbrew faktom — w tych ludowych ruchach zbrojnych chcieli widzieć kolejno i prowokację antyrządową i prowokację przeciwko polskiej klasie robotniczej i zdradę polskiego interesu narodowego.

Dzisiaj byli powstańcy śląscy odzyskali należną im rangę w Polsce. Stosunkowo niewielu jest już starsuszków kombatantów i wdów po ich towarzyszach broni. Zdać się nie ulega wątpliwości, że społeczeństwo przeżyłoby z uznaniem i satysfakcją każdą próbę poprawy ich życia. Wydaje się również, że na przeprowadzeniu za powiedzianej już podwyżki rent i emerytur od 1 lipca 1958 r. oraz po likwidacji tzw. starego portfela rent, wielu powstańców będzie potrzebowało jeszcze dodatkowej pomocy. Dlatego też z uznaniem należy powitać stanowisko egzekutywu KW PZPR w tej sprawie, która zasugerowała Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej wygospodarowanie odpowiednich funduszy, przeznaczone na materialne zabezpieczenie rodzin powstańców potrzebujących pomocy. Trzeba, by ZBNWiD jak najprędzej upełnił swój obowiązek personalny (pamiętając przy tym, że wielu powstańców pozostaje poza szeregami tej organizacji) oraz przedstawił kompetentnej władzy sumienny wykaz najbardziej niezbędnych, rzeczy wistych potrzeb kombatantów śląskich.

Chyba uda się — tak, jak załatwiono to sprawę w wypadku bojowników walk rewolucyjnych — przyznać również śląskim bojownikom o polskość, powstańcom i działaczom niepodległościowym, odpowiednio stałe zaopatrzenie.

Byli powstańcy śląscy, to element

Notatki i UTARCZKI

Refleksja podróżnicza

NOWU więc jestem w pociągu. Tym razem w kierunku Wrocławia — w szybkim pociągu, który jednak niezbyt taskawy jest dla podróżnych, ugniatąją ich dość brutalnie w puszczach wagonów. Stoję w korytarzu, a obok mnie stoją dwie kobiety. Jada do Kędzierzyna. Upewnili się u mnie bowiem przedtem, czy wsiadają do właściwego pociągu. Rozmawiają z sobą dość głośno, przekonując się więc, że jest to matka z córką. Córka, dwudziestoletnia zaledwie, mówi do matki po niemiecku, matka odpowiada jej konsekwentnie po polsku z domieszką gwarowego akcentu. Od czasu do czasu córka, szukająca kontaktu również z ja, zwraca się do mnie po polsku, dobrą polszczyzną, wyuczoną w polskiej szkole. Ale zdarza się, że rozmawiając na przemian ze mną i z matką ani razu się nie myli: do mnie po polsku, do matki po niemiecku.

Co jest, do pierona? — myślę sobie. Konwersacja wygląda dość widowiskowo i co gorsza, nie widzę w tej widowiskowości żadnego rozsądnego celu. Pytam więc o to wprost — córkę, która żongluje z taką beztroską dwoma językami. Odpowiada mi, że jest za jednym, jak i za drugim językiem, że powinny na Śląsku panować dwie kultury językowe, dwie kultury w ogóle. Aha, spotykam się więc z tak zwanym człowiekiem kondominialnym, czyli z typem Ślązaka, który jest ostatnim krzykiem mody zalegającego zachodniemieckiego rewizjonizmu.

Nie wiem, czy młoda dziewczyna, jadąca z matką do rodzinnego Kędzierzyna, czytała nowy list otwarty Felixa Krulla z Duesseldorfu (o jego działalności propagandowej pisałem już na tym miejscu). Otóż w tym swoim nowym wyczynie mityczny ów Feliks Krull, hochstapler wypis — wymaluj według manowskiego wzoru, pisać dosłownie: „Możliwe, że walkę o Śląsk przegramy na długie dziesiątki lat. Trzeba się liczyć z faktami. Na wojnę nie mamy ochoty, a na Śląsku rządzi Polacy. Pokój

sprzysja Polakom. Co więc zrobić, żeby pokój sprzysiał również i Niemcom, tym biednym Niemcom, którzy na Śląsku nie mogą rządzić? Trzeba po prostu — skoro nie ma na razie mowy o kondominium politycznym — wzmacniać na Śląsku poczucie konieczności kondominium kulturalnego. Trzeba, żeby mieszkańcy Śląska mówili na co dzień oboma językami, czytali książki w obu językach, czuli się jednakowo związani z obiema kulturami”.

Tyle Feliks Krull z Duesseldorfu w swym nowym liście otwartym, przesyłanym w odbitkach także i do Polski. W kilku tych zdaniach nakreślił on nie tylko program nowej polityki rewizjonistycznej, ale i nowy typ człowieka, typ rewizjonistów w danej chwili hoolibony do granic politycznej ekstazy, typ, który moglibyśmy nazwać człowiekiem kondominialnym.

Nie jestem przeciwko kulturze niemieckiej, o ile ma ona króć humanistyczny. Chętnie także czytam niemieckie książki, zachwycając się językiem wielu pisarzy, pamiętam nawet na pamięć całe fragmenty z Goethego, których to fragmentów nauczyłem się notabene w hitlerowskim wiewieniu; jak wiadomo, zamykało się do tego wiewienia często ludzi, którzy nic innego nie mówili, jak tylko cytowali myśli Goethego.

Trzeba jednak każde działanie, każda manifestacja takiego czy innego uczucia rozpatrywać również z punktu widzenia celu, któremu ta manifestacja ma służyć. Jeżeli więc pan Feliks Krull, nieoficjalna tuba rewizjonistycznej agitacji, cel ten obnażył tak widocznie — koncepcja człowieka kondominialnego została podwójnie skompromitowana.

Nie o człowieka kondominialnego jeszcze pragną władze rewizjonistyczne, lecz o Niemca, o nacjonalistę, dla którego maska kondominialna ma być tarczą ochronną wobec „chwilowców” nie sprzyjających warunków rozwoju. W naszym natomiast wychowaniu pragniemy sublimować typ człowieka, który gorąco wiąże się z kulturą ojczystą, z jej tradycjami, nie będzie nigdy odczuwał szowinistycznej awersji do obcych osiągnięć intelektualnych, będzie umiał wymierzyć w swym sercu przestrzeń, przeznaczoną dla obcych kultur, w tym i niemieckiej (dla dzieł, które na to zasługują), oraz strzec przestrzeni dla własnych, oczyszczonych doznań kulturalnych.

Człowiek kondominialny jest jeszcze jednym echem czkawką, jaka opanowała nacjonalizm niemiecki po ostatnim przesłanym laniu. Kto na Śląsku poważnie pragnąłby dostosować tę koncepcję do samego siebie, przed czy później wpadnie w łapy nacjonalizmu niemieckiego. Sam pomyśl więc trzeba uznać za zbrodnicę in statu nascendi i odpowiednio ją potraktować.

NAJDŁUŻSZY MECZ W HISTORII HOKEJA

O TYTUŁ MISTRZA

BYŁO TO WIELE lat temu, w 1933 roku. Nadchodził wówczas termin finałowych rozgrywek o tytuł najlepszej drużyny Polski. Zaczęło się właściwie wszy-

zadowoleni, że mecz przyniósł podział punktów przy rezultacie 1:1. Jedyną bramkę, która wysunęła nas na pierwsze miejsce w grupie i otworzyła nam furtkę do pułki finałowej, uzyskał Wacek Kuchar. Drugim finalistą z naszego „odziału” został AZS Warszawa. W konkurencyjnej grupie

NOCNE ZMAGANIA

WDZIEŃ POŹNIEJ, ponownie o godz. 19, wyjechaliśmy na lod, nie przeczuwając nawet, że czeka nas spotkanie z przyszłością, czy się w prawdziwym świecie maratonu. My graliśmy w składzie: Wanczycki, Wacek

napastników. Trzeci z formacji ofensywnej aspirował obrońcą. Tak sementowane mury obronne nie sprzyjały zdobyciu bramki. Minęła pierwsza tercja, z kole drugą fazą spotkania, wreszcie trzecia, jednakże stan 0:0 nie uległ zmianie. Zaszła wobec tego konieczność zarządzenia dogrywki

frowego odzwierciedlenia. Wy-nik meczu po trzech dogrywkach pozostał 0:0.

Niemal niezwłocznie doszło do porozumienia kierowników drużyn z przedstawicielem PZHL i efekt błyskawicznej narady był po prostu zaskakujący: oto postanowiono, że za trzy godziny — o 1,30 nad ranem rozegramy drugi mecz.

Coraz bliżej byliśmy chwili rozpoczęcia tego niecodziennego pojedynku. Wymarzona noc księżycowa, niebo usiane mnóstwem gwiazd, promienie reflektorów ogarniały barwne stroje obu zespołów, wkracza-jących na śliską taflę lodową. Na widowni zebrało się kilku set entuzjastów, którzy nie chcieli opuścić sposobności obejrzenia tak rzadkiego widowiska. I nie sprawiliśmy zawodu tym wszystkim, którzy przyszli o tak niezwykłej porze podziwiać nocnych, prze-praszam, raczej porannych ho-keistów.

Mecz ten miał zupełnie od-mienny charakter, aniżeli przeprowadzony przed półno-cą. Żywe tempo, składowe za-grania, a co najważniejsze — zupełny brak oznak zmęcze-nia, były najlepszym świadec-twem dużej ambicji, odporno-ści i wytrzymałości współza-wodniczących hokeistów. Pro-wadzono grę otwartą, ataku-jąc ustawicznie trójkami. I tak przez cały mecz. W dru-giej tercji zdobyliśmy prowa-dzenie. Hemmerling przebieł się pod bramkę waiszawian i z niewielkiej odległości pew-nie ułokował krążek w siatce. Krótko jednak trwała radość w naszych szeregach. Nie mi-nęły bowiem dwie minuty, a stan meczu brzmiał 1:1. Spra-wił to lewy obrońca Legii — Materski, który sprytnie wy-szukał nieuważną naszą obro-nę, posyłając krążek w lewy róg naszej bramki.

Kończona tercja stoi pod zna-kiem pięknej gry. Zarówno my, jak i nasi rywale zdoby-wamy się na maksymalny wy-siłek, by przechrzcić szalę zwy-cięstwa na swoją stronę. I po nownie następuje dogrywka trzy razy 10 minut. Przez trzy minuty toczy się bez-szczętna walka dwóch rów-norzędnych zespołów. Powoli świta, księżyc kończy samot-ną wędrówkę po niebie.

Godzina 4,10 rano! Znużone bractwo hokejowe opuszcza taflę lodową. Nie ma mistrza. Zresztą nie to zaprzętało wów-czas głowy kilkunastu rywali. Zmęczenie bowiem bierze wszystkich w przemożną wła-danie. Jedną myśl usuwają wszystko w cień — byle jak najprędzej spać, odpocząć, u-dać się na rzetelnie zapraco-wany odpoczynek.

Zwierzchnie władze polskie-ko hokeja! trafnie oceniły wspaniałą postawę dwóch nie-ugiętych finalistów: na kar-tach historii sportu polskiego wpisano Pogoń i Legię, przy-znając obu drużynom tytuł mi-strza Polski w hokeju na lo-dzie na 1933 rok.

KAROL WEISBERG

PONAD 7 tysię-cy kuponów wpłynęło do na-szej Redakcji w odpowiedzi na ogłoszoną przez nas noworoczną ankietę sportową. Niestety, tylko 4678 listów nadeszło w przepisowym terminie, reszty odpowiedzi nie mogliśmy rozpatrzyć.

Wraz z kuponami wpły-wały także listy od czytel-ników. Różne to były wy-powiedzi. Wiekoszki pisały — a byli między ni-mi zarówno robotnicy jak i profesorowie uniwersytetu — stwierdzała, że znalazła się w niemałym kłopotie mając wytypować 10 najlep-szych sportowców Śląska. Niekiedy uzasadniali swo-

chubę wchodząc często am-bicje lokalne, czasami swo-iste punkty widzenia. Na je-dnym z mityngów lekkoat-letycznych Jugosłowianie przeprowadzili wśród przed-stawicieli różnych państw ankietę na najlepszych lek-koatletów Europy. Przedsta-wiciel Polski, ceniony zresztą trener długodystan-sowców kol. Mułak, na pierw-szym miejscu postawił... sprintera niemieckie-go Niemca, na drugim dopiero Kuca. Natomiast przedstawiciel NRF wyżej ocenił Rosjanina. Różne więc są punkty widzenia.

Jednak na podstawie wła-snej naszej ankiety i odwołań się niejako do opi-nii czytelników przekona-limy się, że typowanie

liczcie sympatycznej gim-nastyce Kotównie, jako jedynej przedstawicielce płci pięknej.

Niemniejszą rolę odgry-wała popularność danego 7a wodnika w latach poprzed-nich. Tak np. często typowa-no Drogosza, a pływak Gremłowski zdobył sobie więcej punktów niż jego ko-lega klubowy Bastek.

Gdyby więc ustalił popu-larność najlepszych sporto-wców Śląska na podstawie na-szej ankiety, lista wyglądałaby następująco:

1) Szymkowiak, 2) Pie-trzykowski, 3) Cieślak, 4) Florenski, 5) Białas, 6) Gra-bowski, 7) Kotówna, 8) Gremłowski, 9) Tajner, 10) Chwiendacz.

4678

WAŻNYCH ODPOWIEDZI W ANKIECIE

je stanowisko, wielu wy-pieło po dwa, trzy kupony. Byli także czytelnicy, któ-ry wyrażali żal, że typowa-nie najlepszych sportow-ców odbyło się przez spe-cjalnie wyznaczoną komi-sję złożoną z najwybitniej-szych działaczy Śląska, przedstawicieli różnych dy-scyplin sportu. Ob. Roman Winlańsk z Częstochowy na przykład stwierdza wręcz, że wytypowanie najlep-szych zawodników śląskich wyobrażał sobie na podsta-wie ogólnego plebiscytu czytelników. (W ten sposób przeprowadza resztą ankietę „Sport Śląski”). U-waża on dalej, że po zada-tych 10-krotnie przez komi-sję niepotrzebne już było od-wolywanie się do opinii czy-telników.

Oczywiście, różne są spo-soby ustalania listy najlep-szych sportowców. Najczę-szciej listę 10-ciu najlep-szych ustalają dziennikarze sportowi. Tak jest w wy-padku ustalania 10 najlep-szych sportowców świata, gdzie udział w głosowaniu bierzą redakcje najpopocz-niejszych czasopism sporto-wych 25 krajów, tak jest w Szwajcarii, NRF, Włoszech, Argentynie. W Jugosławii ankietę przeprowadza się podobnie, jak my to robi-limy — sondując się opinie działaczy sportowych.

Musimy niestety stwier-dzić, że jakakolwiek była-bym forma przeprowadzania ankiet, jednomyślnością ni-gdy nie zanotowano. W ra-

najlepszych przez ogólny plebiscyt kibiców jest nie-sztety jeszcze nierealne. Przy tego rodzaju szeroki-jej akcji można jedynie mówić o konkursie na naj-popularniejszych, a nie najlepszych sportowców. Układ listy zmienia się wy-datnie każdorazowo po wpłynięciu dodatkowych 100 listów. Zupełnie inna np. była lista naszych czy-telników po obliczeniu pierwszego tysiąca gło-sów, wybitnie zmieniła się po oblicze-niu drugiego tysiąca, a już zupełnie inaczej wyglądała w fazie końcowej. Wystar-czyło, aby z Dąbrówki Wielkiej nadeszło 48 an-kiety, na których Kotówna widniała na pierwszym miejscu, a już zmieniła się cała układ dziesiątki. Na podstawie adresów uwidocz-nionych w ankiecie moż-na było zorientować się w lokalnych zainteresowa-niach naszych „kibiców”. Przeważnie mieli oczywiście najchętniej piłkarze, a nie-rzadkie były także ankiet-y, jak np. Erwina Orlika z Piotrowic, który typował następująco: 1) Cieślak, 2) Florenski, 3) Szymkowiak, 4) Kotówna, 5) Brychcy, 6) Gawlik, 7) Zientara, 8) Jan-kowski, 9) Kempny, 10) Lenner. Podobnie typował Franciszek Olek z Chropo-czowa, z tym, że za najlep-szego sportowca uważał Lentnera. Sympatia dla pi-lkarzy uwidoczniała się na każdym kroku, przez kur-tuazję dawano miejsce na

Nagrody książkowe za na-danie ankiety wypełnio-nej identycznie, jak typowa-la komisja działaczy ślą-skich, względnie b. zbliżonej do ankiety wzorcowej otrzy-mują:

Jerzy Tendera — Katowice - Zależe, ul. Zabrzeżskiego nr 5/7. Maria Turczyk, Świętochłowice, ul. Wojska Polskiego nr 23. Stanisław i Helena Klimkowicz — Ka-towice, ul. Kopernika nr 4. Jan Siewicz — Katowice, ul. Plebiscytowa nr 4. Stefan Białynski — Gliwice, Kaszubska nr 20. Adolf Sta-chura — Bystra 104. Jerzy Lesnik — Dąbrowa, ul. Je-sionka nr 14. Paweł Karko-szka — Chorzów - Batory, ul. Niemcewicza nr 8 oraz uczennica Marta Hajder z Dziegiełowa nr 130.

Wsporcie bywa i tak

„POŁO”

Jest sportem u nas ma-ło znanym, ale bnał-mniej nie zanikającym. „Polo”, jak powiada-ła złośnica, jest ostatnim sportem rozpowszechnio-nym przez Anglików i oni jeszcze dzierżą w nim prym.

Nieprawda! Już nie dzierżą. Obecnie Argentyna obiera bezapelacyjnie prowadzone w tej dyscy-plinie sportu, stworzonej przez „tyśkami” lat w Persji. A najlepszym kluczem świata okazał się tak-że argentyński „Los In-dian”, którego czołwka jedynemu wygrał ostatnio Puchar Królewskiej Anglii, pokonując do tej pory najlepszy zespół świata Polaków Essex 9:4. Netu-szczunkowo się do tego pro-jektu szef Ralsy, naczelni re-daktor „Sowieckiego Spor-tu”.

— Po co ci wóz? Biegacz nie powinien mieć samochodu — perorował — Samochód roz-lenia, a i o wypadek nie trudno.

Konikiem naczelnego redak-tora bowiem było prowadze-nie statystyki wypadków sa-mochodowych i motocyklo-wych, którym ulegli sportow-cy radzieccy. Podobno wy-padków tych było już sporo.

Dzisiaj samochód Włodzi-mierza Kuc jest znany każ-de mu milicjantowi Moskwy. Władom, drogowa milicja moskiewska wzbudza ogrom-ni respekt wśród wszystkich kierowców. Lecz gdy milicjan-ci widzą nadjeżdżającego wóz najsłynniejszego biegacza świata, uśmiechają się, podnoszą rękę do daszka czapki.

JAN NOGAJ



Włodzimierz Kuc i jego żona Raisa.

rtko normalnie tak, jak w u-przednich sezonach. Do Kryni-cy jechaliśmy mistrzowie sie-dmiu okręgów, którzy stosow-nie do regulaminu przydzie-leni zostali do dwóch grup.

Do pierwszej zaliczono Po-goń, AZS Warszawa, Sokół Kraków i Ogniwo Wilno, dru-gą, skromniejszą liczebnie, tworzyły zespoły warszaw-skiej Legii, AZS Poznań i Łódzkiego Klubu Sportowego. Znałszy najszybszej gry, ze-epolowej, rozstraszając szanse siódmki rywalizującej o mi-strzostwo, przyznawali najpo-ważniejsze aspiracje na zde-tronizowanie AZS mojemu ze-epolowi — Pogoni. Nie było to pozabawione racji, gdyż za-zeżające się podpory akademickiej drużyny wzięły już roz-brat z czynnym życiem sporto-wym, a młodzi ich sukcesorzy „dość znacznie odbiegali poziomem od sławnych przez-wiele lat reprezentantów Pol-ski.

Przebieg pierwszego meczu z warszawskim AZS potwier-dził, że w sporcie nie ma na ogół stuprocentowych fawory-tów i niejednokrotnie forma-dnia decydują o wyniku spo-tkania. Odmłodzona drużyna akademików, zrzułona nieocze-kiwanie „ojcem” polskiego ho-keja, Adamowskim, który u-legł namowom i przyszedł w sukurs swoim barwom, stawia-ła nam nieoczekiwanie mocny opór i w końcu byliśmy więcej niż uradowani, że uda-ło nam się uratować jeden punkt. Mecz bowiem zakończył się bezbramkowo.

Również druga przeszkoda na drodze do zdobycia pierw-szeństwa w polskim hokeju — drużyna krakowskiego So-koła — ambicie przeciwstawi-ała się naszym zakusom i niejednokrotnie byliśmy w arcynieprzychylnych opalach. Wygraliśmy bardzo skromnie ko 1:0, uzyskując zwycięską bramkę z przypadkowego strzału, skierowanego przeze mnie z połowy boiska.

Wiele perypetii nastąpiło nam także ostatni mecz gru-powy, przeprowadzony z „zu-brami”. Mroz bowiem żelazł znacznie i po uprzednich opa-dach śnieżnych nastąpiła cał-kowita odwilż, stwarzając obu-rywalom ciężkie warunki. Na-miękka tafla lodowa naszej wyższość techniczną nad dru-żyną Ogniwa zmalała niemal do zera i byliśmy w końcu

pierwsze miejsce zajęła Le-gia Warszawa przed poznań-skim AZS i ŁKS, zwycięża-jąc obu przeciwników w iden-tycznym stosunku 1:0.

GROŹBA BEZKRÓLEWIA

CHIMERYCZNE weso-łki pogozy przekreśliły całkowicie zamierzenia organizatorów i krytyki tur-niej nie dobiegał się zakoń-czenia. Władze PZHL nato-miast uwarły dażyć, by w tym roku mistrzostwa prze-prowadzić w naturalnych warun-kach z omiędzieniem stojącego do dyspozycji sztucznej lo-dowiska w Katowicach.

Tymczasem tygodniem ucie-kały i mrojące płyty betono-wą maszyną Towarów zastępy w bezkoni. Wszyscy byli już przekonani, że sezon 1932/33 przyniesie bezkrólewie w pol-skim hokeju. W chwili jednak kiedy wiosna dochodziła już do pewnych praw, a ciepło podmuchy wiatru wymitały z pół resztki śniegu — otrzy-maliśmy zawiadomienie z PZHL, zalecające przybycie do Katowic na stożenie osta-tecznych bojów o mistrzostwo Polski. Zarządowi PZHL uda-ło się nakłonić kierownictwo Torkatu do uruchomienia lo-dowiska na dwa dni, tj. 11 i 12 marca 1933 roku.

Pojechaliśmy bez namysłu. W Katowicach zastaliśmy już hokeistów warszawskiej Legii i AZS Poznań. Nie przybyli natomiast warszawscy akade-micy, co sprawiło, że „legio-niści” weszli do finału bez walki.

Raz jeszcze w tym sezonie Torkat odżył wrzawa przepel-nionej widowni, a tafla lodo-wa, tonąca w mglistym świetle reflektorów, oczekiw-ała hokeistów. W sobotę, 11 marca, o godz. 19 odbył się półfinałowy mecz między Po-gonią i AZS Poznań. Przez trzy tercje rozgrywał się na sztucznym lodowisku Katowic przedostatni akt mistrzostw. Równorzędność obu zespołów zwiastowała zacięty bój. Szyb-kie tempo, zmienność akcji, krótkie spiecia podbramkowe, likwidowane przez obu bram-karzy, dynamiczne zagrania szybkich napastników, trzy-mały widzów w ustawicznym napięciu. Prowadzenie dla Pogoni zdobył Cieślak Berez-a, a ostateczny wynik ustalił autor niniejszych wspomnień.

Kuchar, Stworzeński, Hemmer-ling, Weisberg, Sabinowski. Zim-mer i Berez, Nasi przeciwni-ci w zestawieniu: Przecież-ki II, Głowacki, Materski, Pa-stecki, Szejański, Rybicki, Sza-błowski i Kawiński.

Zrozumiałe, że wysokość stawki — tytuł mistrza Pol-ski, który uśmiechał się zwycię-życej zawodów — sprawiła, że przebieg meczu nacecho-wany był dużą nerwowością. Oba zespoły zastosowały sys-tem polegający głównie na zabezpieczeniu własnej bram-ki. Akcje zaczepne natomiast prowadzone były albo przez specjalistów od solowych ra-idów, albo najwyżej dwójką

ki trzy razy 10 minut. I o dzi-wol! Na lodowisku nastąpiło znaczne ożywienie. Słabe sto-sunkowo dotychczas tempo wzrastało z każdą uciekającą minutą. Zawodnicy zapomnieli o wszystkim, a jedynym ce-lem było uzyskanie zwycię-skiej bramki. Zbirowe wysił-ki trójków ofensywnych, wy-jazdy obrońców nie potrafiły wszelako, zmusić do kapitu-lacji zarówno naszego bramka-rza, jak i Przecieżkiego. Wreszcie dobiegła kresu tre-cia dogrywka. Zmęczeni scho-dząc z lodu, a ogromny trud zawodników włożony w to spotkanie, trwające od godziny 19 do 22, nie znalazł cy-



NADSZEDŁ, chłod-ny wieczór, chłod-ny wieczór. Sta-dion im. Lenina wypełniony był entuzjastami lek-koatletyki. Włod-zimierz Kuc miał za chwilę zataśować re-kość świata na 10 km. Po-między kibicami toczyły się dyskusje, każdy z nich znał możliwości biegacza, wielu by-ło poinformowanych, jak wy-głady jego poprzednie pró-by pobicia rekordu na tym dy-stansie.

— To jego płyty start na 10 kilometrów — powiada jeden z nich.

Z miejsca zostaje przygłu-szony krzykami innych. Jakże to można nie wiedzieć, że Włod-zimierz Kuc startuje na 10 km dopiero po raz czwarty! Sypia się anegdota o wielkim puchu biegacza, który prowa-dził Anglika Pirle do rekordu świata na 5 km, ale darem-nie szukał okazji, aby rozpra-wić się z rekordem na 10 km. Zawsze natrafiał na klepskie warunki atmosferyczne, ba — ostatnio nawet startował w długich raitachach i... omal nie pobił rekordu Tharosa.

W tym dniu było także chłodno, ale przynajmniej nie padał deszcz. Bieżnia była nie-mal dobra, chociaż trenerzy mieli pewne obawy.

Kuc tymczasem samotnie przemierzał kilometry — roz-grywał się przed biegiem. Padł wreszcie strzał startera. Obok mnie przystojna brunetka, dziennikarka „Sowiec-kiego Sportu”. Palkowa przystąpiła do zdenerwowaniu warg, uważnie śledziła bieg wskazywał stopera, notowała wyniki poszczególnych okrę-żeń i porównywała je z cyfra-mi wypisanymi na osobnej karcie papieru. Na kartce wy-pisany był harmonogram bie-gu Kuc, on sam wyczerzył go przed chwilą dziennikarce. Tylko ona i trener Nikiforow byli w posiadaniu harmono-gramu, wiedzieli o tym wszy-scy i setki oczu śledziły ich zachowanie się.

Mijały rundy, Kuc był regu-larny jak zegarek. Chyba o-

MISTRZOWIE BEZ RETUSZU

WŁODZIMIERZ KUC NAJLEPSZY SPORTOWIEC ROKU 1957

garniało go zimno, bo dwu-krotnie opuszczał ręce i roz-cierał zdrętwiałe nogi. Każdy znał biegów wie, jak bar-dzo to wytrąca z rytmu, jak wiele kosztuje energii. Wre-zcze nastąpił słynny sprut Kuca, biegacz przewalał ta-śmę, podnosząc wysoko rękę na znak zwycięstwa. Wiedział już, że pobił rekord świata. A rekord ten wynosił 28:30,4 minuty.

Kuc pobił jeszcze kilka-kroć rekord świata, ale z roz-cierał zdrętwiałe nogi. Każdy znał biegów wie, jak bar-dzo to wytrąca z rytmu, jak wiele kosztuje energii. Wre-zcze nastąpił słynny sprut Kuca, biegacz przewalał ta-śmę, podnosząc wysoko rękę na znak zwycięstwa. Wiedział już, że pobił rekord świata. A rekord ten wynosił 28:30,4 minuty.

Nazajtrzy rozmawialiśmy we troje w przelutnym mie-szkanie Kuców przy Alejach Lenina w Moskwie. Kuc nie jest małomówny, tego o nim nie można powiedzieć. Chy-tnie rozprawa o teatrze, pilce nożnej, rozpala się wprost, gdy mowa o technicznych za-letach poszczególnych samo-chodów, jednak gdy mowa o biegach — lekkoatletycznych, staje się powściągliwy, a w udzielaniu informacji wyre-za go raczej żona.

Długo była droga skromne-go chłopca, zamieszkałego w jednym z kolehozów na Ukra-ine, do bieżni największych stadionów świata. W począt-kach młodociej ogromne pla-szczyny upalnej Ukrainy bu-dziły w nim raczej tęsknotę za morzem, chciał koniecznie zostać marynarzem. Wreszcie został żołnierzem, przywdział niebieski mundur marynar-ski. We Flocie Bałtyckiej, jako dojrzały już młodzieniec, po-raz pierwszy zetknął się ze sportem. Zaczął od gimnasty-ki, brał udział nawet w ja-kichś zawodach. Lecz później ogarnęła go pasja narciarstwa. Zaczął brać udział w biegach narciarskich, zwyciężał, zdo-był pięć lat temu nawet mi-strzostwo Floty Bałtyckiej.

Wrócono mu wielką przy-szłość, trenerzy radzili latem trenować biegi jako sport u-zupełniający. Wtedy dopiero Włodzimierz odkrył piękne sweego niepospolitego talentu. Po jednym sezonie znalazł się w czołowie biegaczy radziec-kich, a po dwóch latach treni-ngu znany był już na całym świecie.

— W tym to właśnie cza-sie — wspomina Raisa Kucowa — poznałam się z moim mężem. Po ukończeniu studiów roz-po-czął pracę w „Sowieckim Sporcie” i jako pierwszy zle-cenie otrzymał zrobienie wywiadu z jakimś pływakiem. Pływaka nie mogłam odnaleźć, a nie chciałam przy-chodzić do redakcji z pustymi rękami, zrobiłam więc wy-wiad z nowym w Moskwie sportowcem — Włodzime-rzem. Ciekło się z niego wy-ciągać ciekawostki z życia sportowego, o wszystkim chet-nie mówił, tylko nie o lekko-atletyce. Teraz także woli, bym ja mówiła za niego...

Włodzimierz Kuc szczykował się wtedy do Igrzysk Olimpij-skich w Melbourne, ciekawil mnie jego trening sportowy. — Tremię tylko pięć razy w tygodniu — mówił. Nie je-stem dostatecznie przygotowa-ny do przeprowadzania tak ciężkich ćwiczeń jak Zolop-pek. Na każdym treningu

przebiegał około 32 km. w tym niewiele przebiegł inter-walowych. Przed ustanowie-niem rekordu na 10 km prze-biegał na każdym treningu 2 x 200 m w czasie 28 — 29 sek. oraz 4 x 400 m. Moja żo-na notowała mi wtedy cza-sy: 61,3 — 61,5 — 62,4 — 62,1 sek.

Choćby wtedy Kuc, roz-mawiając ze mną, zapewniał, że w późniejszych latach znacz-nie zastrzyżę dawki treningo-we, w roku ubiegłym kiedy u-stanowił kilka rekordów świat-nych, którym ulegli sportow-cy radzieccy. Podobno wy-padków tych było już sporo.

Dzisiaj samochód Włodzi-mierza Kuc jest znany każ-de mu milicjantowi Moskwy. Władom, drogowa milicja moskiewska wzbudza ogrom-ni respekt wśród wszystkich kierowców. Lecz gdy milicjan-ci widzą nadjeżdżającego wóz najsłynniejszego biegacza świata, uśmiechają się, podnoszą rękę do daszka czapki.

JAN NOGAJ



Krótkie spiecia podbramkowe trzymały widzów w ustawicz-nym napięciu.

MLODZIUTKA PLYWACZKA

angielska Judith „Grin-ham, która tak niepo-dległa nie, a jednak przekonywa-jaco zdobyła złoty medal w stylu grzbietowym, jest znowu na ustach kibiców Europy zachodniej. Sym-tem były niedawno jej tatar-ny z włóciatami i gabi-netów figur woskowych w Parwiz i Londynie, którzy trzynaście musieli brać u niej „przemiarkę”. Mo-dlarze bowiem nie potra-fili dobrze wyidealować jej potężnych ramion.

Niedawno Judith zaro-wiedziała, że pracuje nad nowym stylem pływackim. Zamierza zarzuć crawl grzbietowy i pływac na plecach ruchami delfino-wymi. Fachowcy nie wró-za jej powodzenia. Delfin na plecach jest znacznie trudniejszy od normalne-go.

MRÓZ SIARCZY-SCIE parzył w policzki, gdy z Janem Tacim, znanym folklorystą i zbieraczem piosen ludowych, zapukaliśmy do małej chaty. Przecupnęła „pod groniem” przy samym końcu „niebieskiej doliny” w Wiśle - Malince.

Było to przed kilku laty. Złoty wtedy jeszcze Andrzej Szalbot i choć rozpoczął osiemdziesiątkę, nie wypuszczał ze swych spracowanych rąk umiłowanej trombity, czy jak ją zwą inni - trąby beskidzkiej, czyli po prostu fujary. Toteż - choć zima była sroga - gdy poprosiliśmy go, by nam za-



ANDRZEJ SZALBOT ostatni z wielkich beskidzkich trębaczów.

niósł Szalbot z sobą do grobu.

Gdy rozmowa zeszała na folklor, na swojskość, na to, co Szalbot ukochał i serdecznie wypiekał na swym dziwnym instrumencie, stary opuścił głowę i zamyślił się głęboko. A potem jał mówić jakby do siebie:

— Po moim to źle się dzieje, że się zapomina o naszych gronach, że młodzież nie dźwierz się już starodawnym obyczajom, które zanikają jak śnieg na wiosnę. Może tego bydzie się lutować, bo stary obyczaj wzmógł wraz ze starymi ludźmi. Na co bywom dźwierz młodzieńcy? Kiedy jeszcze dźwierz growo na fujarkę beskidzką?...

Znowu pograżył się w milczeniu ale na krótko, po czym jakby sobie sam przypomniał, zwrócił ku nam szeroko, jasną twarzą i zadudnił głuchym echem:

— Żodyn! A przeca fujarka nasza ma piękną historię i źle by było, aby ta historia już się miała skończyć...

Brakło staremu słów. Lecz po chwili znów narodził się raz napoczętej myśli:

— Może Cieślar spod Jańszki, może jeszcze kiero inszy?...

W końcu jednak stracił widocznie ochotę do dalszych zwierzeń, uchwycił niespodziewanym ruchem przysługę, ugłaskał go palcami i przyłożył do ust. Popłynęła rzewna, dotąd niesłyszana, melodia. Ozwiały się owece dzwonki, słychać było trąbienie na wilki, gdzieś, jakby wprost z serca wyrosła rozsoncz-

pierzyska, owce na hali, nasze przeogromne beskidzkie niebo i... zagroch. Gdy skończył, wiele wydyńscy muzycanci przisłali ku mnie i nucił, a omaczając ją, czy nima we stródzku jakiś cudaczny harmonij. Nie wierzyli, żeby gęba można było wygrać wszystko, czego ino dusza zapagnie... Chcieli mnie ci

grał, nie ościagał się wiele. Nim jednak przyłożył do ust 3 i półmetrowy instrument, nim wydył policzki, długo gładził dionią powierzchnię swojej fujary. Od lat oślepiły, dotykem wital się ze swą towarzyszką lat dziesiętnych, kiedy to jako góralczyk pasł owce na halach, przysłuchując się



Coraz rzadziej odzywa się trombita na stokach beskidzkich.

tudownemu graniu. Od tego czasu zakochał się w tym dziwnym instrumencie i kiedy późniejsze lata pozwoliły mu na zakup trąbki, nie pozostał się już z nią do końca życia.

— Znał mnie ludziska daleko i szeroko — rozpoczął starzec niespodziewanie opowieść.

— W roku 1892 zaprosili mnie pancerzowie aż do Władysławowa na wielką wystawę, na którą zjechali ludzeczowie z całej austriacko-węgierskiej monarchii. Oj było tego, było. Gdy przyszło mi grać przed tym tłumem, uległy się nogi podymną. Wtedy przypomniały mi się nasze doliny, gronie i gronickie poziołosty, oczu

muzykantów zadzierzeć nad Dunajem, obiecywali dużo pieniędzy. Ale gorola tak przedko nie uwierzył. Jakżebych ja mógł opuścić swoje gronie roztołmę, lasy, hale, owieczki bielutkie? Wrócić do Wiśli.

Nie było dotąd i chyba nie będzie już w Beskidach człowieka, który potrafiłby wygrać na trombitce każdą melodię. Te sztuki posiały jedynie Andrzej Szalbot z Malinki. Melodia jego beskidzka trąby niosła się szeroko i echem aż „na Słowaki”, szła radośnie ku Żywiecowi. Naśladować u słowaków Andrzeja z Malinki swoli i obcy, lecz nikt mu w graniu nie dorównał. Tajemnicę tego grania po-

niłona, radosna pieśniczka, owiana wspomnieniami najwesońszej młodości. A potem wpełzły w melodię poważniejsze tony, dojrzałe, pełnia męskich lat, kiedy to Szalbot zastąpił w całej austriacko-węgierskiej monarchii jako szermistrz niezrównany.

Powoli gasła melodia. Szalbot oparł się o ścianę, długo patrzył w milczeniu w nasze twarze oczyma bez błasku.

— Wście nasz ludzie, wy kochacie Beskidy, tak jak i ja. To do was go gromy, wy gromochcie dzieje mego żywobycia...

Nie wiedzieliśmy wtedy, że milczenie Szalbotowej trąby trwać już będzie wiecznie. Był to bowiem ostatni koncert beskidzkiej trębaczki.

Piosenka tygodnia



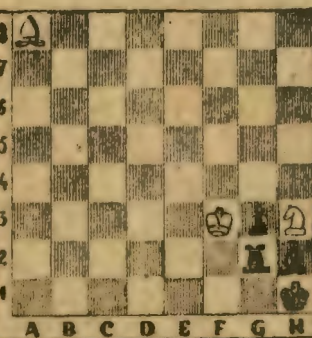
Rrs. Z. LIS

— DZIEWCZĘCE SERCA
TOPISZ — TAK JAK WOSK...

WŁADYSŁAW MOST

Szachy

pod redakcją S. Łambacha
PROBLEM NR 311
Dr G. Grzeban — Warszawa
(Oryginał dla Tr. Robotniczej)
Białe: Kf3, Gd8, Sh3 (3) Czarne:
Kh1, Wg2, Pz3, h2 (4) 5 — mat.
Mat w 5 posunięciach.



Dr Grzeban z Warszawy — mistrz Polski — w dziale kościwek (studia artystyczne) nadał nam oryginalną pracę, która poświęca prof. T. Wrońskiemu. Problem ten nie jest zbyt trudny do rozwiązania, ale kilku posunięciowa kombinacja jest interesująca przeprowadzona. Za rozwiązanie dzisiejszego problemu — nadawane w terminie dwutygodniowym — przeznaczamy nagrodę książkową. Szachy — organ GKKF i Polskiego Związku Szachowego w Warszawie na ogół zbyt mało

wemu w terenie. Dlatego zachęci ślasy z zadowoleniem powitali fakt ukazania się Biuletynu Ślaskiego. Okręgowego Związku Szachowego. Redakcja jest znany organizator życia szachowego na terenie Śląska — Roman Bak, Chorzów, Konopnickiej 7. Dotychczas ukazywały się trzy numery.

Dla amatorów samostanów podajemy jeden problem tego typu do rozwiązania. Białe: Kc8, Hb2, Gf8, Se1, f5. Pz1, b3(7). Czarne: Kbh, Wg2(2). Samostan w 5 posunięciach.

Za trafne rozwiązanie przeznaczamy rocznik pisma szachowego.

Znaczenie wyrazów. Poziomo: 5. część symfoni lub sonaty, 8. nieobciążone stanowisko, 10. badanie, 12. robidziury, 13. cel, 14. smyk, 15. wiejski PIHM, 16. droga, 17. dowodził wojskami, 20. ptaki z rodziny bekasów, 22. dawna księga do notatek, 23. pokład, 26. list uwieczniony, 28. ojciec Harpagona, 29. zakończenie, 30. gacek wielkouchy, 32. dawny piegiad, 34. amatorzy białego sportu, 37. naczynie kuchenne, 39. ulga w opłatach, 42. część siedzenia, 44. znana ryba, 45. zawładnięcie, 46. tak się zaczyna kradzież, 47. abychyśki dostojnik, 48. stolica państwa europejskiego, 49. dyshonor, 50. dobre piwo. Pionowo: 1. reakcja, 2. refleks, 2. farsa, 3. przenośnia, 4. początek, 4. bystry, 6. dawny tańiec salonowy, 7. terytorium, 9. czubek, 9. papuszek, 10. przedzielenie, 11. p. i. storo europejskie, 13. australijski biegły, 19. uława szczyt, 20. postać z bajki (w życiu codziennym występuje), 21. brzo, 22. 24. brzo

LUZKIE SPRAWY

„LEPSZY” SYN CZY CÓRKA?

Sadzą niektórzy: żyjemy w świecie, w którym — wbrew pozorom — dominuje nadal ustrój patriarchalny. Och, oczywiście, nikt nie neguje liczących osiągnięć kobiet w nauce, w życiu społecznym i politycznym, ale przecież mężczyzna w całym ciągu jest „panem stworzenia”. To jego umysł i wiedza kształtują świat, historię, kulturę. Kobiata tylko z mężczyzną „współdziała”.

Nie więc dziwnego, że — zgodnie z takim tokiem rozumowania — kiedy narodzi się ma dziecko, rodzice marzą, żeby był to syn. Jeśli zaś przychodzi jednak na świat dziewczynka, wyrzyna się spod serca pełne bolesnego rozczarowania westchnienie: „Tylko córka”.

Tu też właśnie tkwi chyba przyczyna, że niejedna dziewczynka rośnie w atmosferze pogardy dla swojej płci, że napotyka w swoim życiu na przeróżne i przeliczne zakazy. To tego dziewczynce „nie wypada” robić, to tamtego — „słyszysz z ust dorosłych na każdym kroku. I tak rodzą się pierwsze kompleksy w młodej umysłowości. Dziewczynka czuje się zepchnięta na drugi plan, jakby za karę za swoją niezawinioną przecież kobiecość.

Jakże są tego efekty? Wyrastając w takim świecie przewart „męskość”, dziewczynka chce za wszel

ką cenę dorównać chłopcom. Staje się więc wspaniałym „kumplem”, wielkimi krokami przemierza ulice, uprawia „męskie” sporty, ubiera się wyłączenie po męsku. I tak wchodzi w swoją „rolę”, że jak stwierdził to na wielu przykładach znany psycholog C. G. Jung, rzadko do bywa się z biegiem czasu na porzucenie męskiego stylu życia i przeważnie rezygnuje zupełnie z założenia własnej rodziny. Do końca życia pozostaje „harcerką”.

Ala bywa i inaczej! dziewczynka, w której rośnie — pod wpływem otoczenia — kompleks niższości, jakby dla przeko była skłonna do przeceniania siebie, a zarazem pogardliwego osądzania mężczyzn. Na każdym kroku, w każdej sytuacji, podkreśla więc przewagę niewłaściwą nad mężczyznami, z nich zaś kpi i drwi. Ale — do czasu. U tego typu kobiet bowiem, z chwilą, gdy odczuje się uciążliwość, kończy się kpiarstwo. Szkoda jednak wielu lat młodości, zmarnowanej na ową beznadziejną „walkę płci”!

Od rodziców i najbliższego otoczenia zależy, czy wśród młodych dziewcząt rozwijać się będą niepotrzebne kompleksy. Zle one wpływają na młode umysły, i są też zgola fałszywe. W społeczeństwie jest bowiem miejsce i na tzw. męskość, jak i na kobiecość.

KRYSTYNA BEKER

Nie tylko dla filatelistów



Ukazały się w obgu znaczki wartości: 0,90, 1,50, 3,10, 3,90, 4,00 i 15,00 zł.

AWIEC I NA NASZYM zadymionym Śląsku zaczął pracować Oddział Polskiego Związku Entomologicznego. Wprawdzie Oddział Śląski powstał jeszcze w maju ub. roku, ale pierwsze zebranie odbył właśnie przed paru dniami. Zeszła się więc — z wyjątkami na polickich garkach „nalogowców” zbieraczy motyli, chrząszczy i wazek, i postanowili skoordynować swoje wysiłki. Jest wśród tych zapaleńców sporo amatorów, są jednak również naukowcy, jak np. prezes Oddziału dr S. Toll, dr Jaroszewicz, mgr Bielewicz, kustosz Muzeum Bytomskiego, i 90-letni Paweł Rachel — nestor ślaskich entomologów (architekt Prezydium MRN w Zabrze). W sumie 30 osób.

Nasz dzisiejszy „konik” ma zatem nieco zmienioną formę. Wyjątkowo mówimy o całej grupie sympatycznych entuzjastów i znawców owadziowego świata. Pragniemy tym zachęcić licznych amatorów, dołączyć do nieznanych Oddziału Śląski — najmłodszy w Polsce — czeka na nich.

Stare są na Śląsku tradycje entomologiczne. Badania entomofaunistyczne sięgają aż roku 1776 i wiążą się z nazwiskiem Augusta Kaluży. Później — Kordecki, Scholz, dr Węciński, bracia Masłowski, Skala i wielu, wielu innych. Oddział Śląski, organizując swą pracę, zamierza zrealizować ambitne plany. Trzeba opracować faunę owadów Śląska (czyli wiecie, że na naszym ziemiu kopieł i hui mamy aż 153 gatunki motyli?); wydawać biuletyn informacyjny; organizować wyprawy doświadczeń między członkami Związku, dostarczając im zarazem — w ramach możliwości — odpowiedniego wyposażenia.

NA KONIKU

Entomologowie

Motto: Upraszam entomologów — czyli badaczy owadów — o przysyłanie nam na tę sprawę rzucał z szalemem... (K. I. Galezyski w „Satyrze na bożą krowkę”)



lice Kłobucka i Jury Czesłowski-Krakowskiej, gdzie należy się spodziewać specjalnie bogatych rezultatów, ponieważ rozbudowa przemysłu nie dotknęła flory i fauny tych okolic w takim stopniu, jak terenu gamej niecki węgowej.

Warunki pracy powinny być sprzyjające. Ślasy zbieracze w niedalekiej przyszłości otrzymają bowiem teren należący do Prez. MRN w Bytomiu, o obszarze ok. 1000 m², jako rezerwat, podległy ich opiece. Kollniska, w której mieści się bieżący teren do badań, jest terenem rezerwat, na doskonałe położenie i stanowiąc świetny teren do badań. Wielką tylko szkoda — twierdzą ślasy miłośnicy motyli — że okolice Opola podlega terytorialnie wrocławskiemu oddziałowi PZE, jest on bowiem bliżej związany z okolicznymi katorżnikami. Toteż Oddział Śląski pragnie jak najprędzej nawiązać z Opolem koleżeńską współpracę. A czas już istotnie najwyższy wziąć się do poważnej działalności naukowej — badawczej. Ostateczna edycja z tej dziedziny (praca znanego ślaskiego entomologa Zdzisława Sługlika „Materiały do fauny fauny motyli i Śląska”) ukazała się przecież — nakładem Muzeum Śląskiego — w 1934 r. Za rok upływie więc równo czterdzieści lat. Taki jubileusz milczenia nie byłby chyba najbardziej zaszczytny...

KABE

Drobiazgi z piecu KONTINENTOW

Niecodzienny wypadek zdarzył się w audycji telewizyjnej angielskiego nadawcy BBC. W czasie nadawania programu poświęconego kampanii wyborczej, zamieniono taśmy magnetofonowe. Wskutek tego konserwatyści uwzględnili w swej kampanii, a laburysta przekonywał słuchaczy o słuszności argumentów konserwatyści.

Delegacja kobiet z Australii zamierza wkrótce być dłuższą podróżą po Chinach i propagować w tym kraju... roboty szpiekowskie. W ten sposób patriotyczne panie chcą zwiększyć popyt na australijską... ne.

W Courtenay skazano stał na przynię w wysokości 200 dolarów Herbert Wilson, lat 74, autor książki „Ukradłem milionów dolarów” i innych dzieł sensacyjnych i krzywdzących. Przewinę Wilson ukradł w sklepie mięso wartości... 7 dolarów.

Straż pożarna w wiosce Telve di Sopra (Włochy) postanowiła wypróbować nowonabytą syrenę alarmową. Sygnal spowodował, że z okolicznych miejscowości przybyło na pomoc 6 jednostek pożarniczych, które nie zostały powiadomione o próbie. „Wielki alarm” zakończył się w tym festynie.

Trzech wyższych urzędników poludniowo-włoskiej kolei państwowej wydało samowolne i bezprawnie przebudowy i nowego odnaka kolejno torowiska. Uzyskane ten sposób 10 ton szyni sprzedali na złom, dzieląc się między sobą i trzymając sumę. Zwolniono ich natychmiast ze stanowiska za „nieuważenie po mowanie obowiązków urzędnika”.

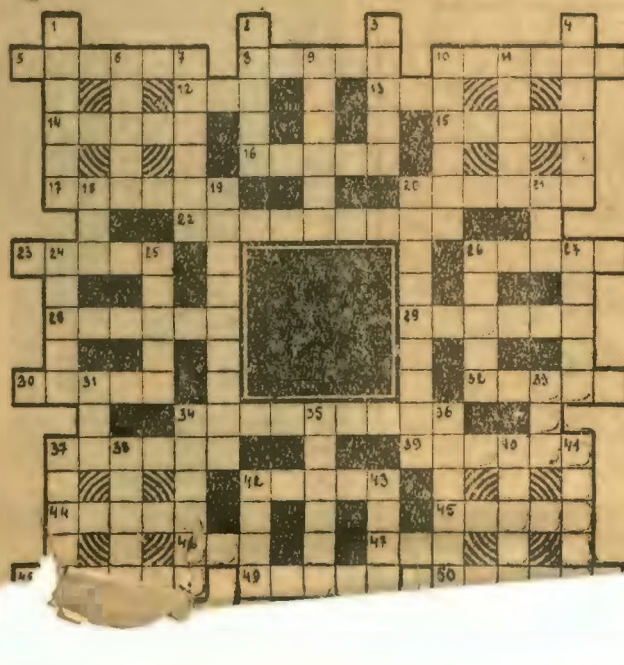
W Lancaster (USA) policja zatrzymała Georga Morgana, oskarżonego o kradzież samochodu z salonu samochodowego w Vauxhall. Morgan został przetransportowany do więzienia skradzionym wozem 1000 kilometrów. Przy restytucji ostatecznie zapłacono: — Sprzedawca nie wiedział, że samochód został kradziony, nie określił jednak, jak daleko ma iść!

Aby w przyszłości racjonalniej wykorzystywać czas przeznaczony na urzędowanie, wiceprezydent USA Richard M. Nixon postanowił podzielić wszystkie dokumenty, akta i listy tylko „Richard Nixon”.

Za kradzież skrzypiec stał przed sądem w Malmö (Szwecja) ślusarz Ole Sörensen. Sedzia: — Dlaczego ukradł pan skrzypce, skoro i tak nie umie pan grać na tym instrumencie? Oskarżony: — Zooda. Ale on także nie umie!

W szpitalu w Sedgefield (Anglia) przeprowadzono niedawną operację 54-letniego mężczyzny, któremu z żołądka wyjęto 366 monet półpensowych, 17 — trzy pensowych, 11 — pensowych i cztery szylingi oraz kawałek drutu. Pacjent przed operacją uskarżał się tylko na brak apetytu. Cały wywód był z żołądka kram ważył 5 funtów!

Pani Ethlyn Haney z Newport (USA) otrzymała na gwiazdkę futro, które już od dawna było przedmiotem jej marzeń. Pech chciał, że już następnego dnia skradziono jej w łazience ten cenny prezent. Bez cienia nadziei pozostała u portiera swojej adres. Jakież jednak było jej zdumienie, gdy po kilku dniach otrzymała już załączoną karteczkę. Proszę oddać właściwe futro nie pasuje do...



na widnokręgu NAGRODY, NAGRODY...

JESTEMY w okresie rozdzielania pierwszych, decentralizowanych nagród artystycznych. Udzielają ich miasta, udzielają województwa, udzielają redakcje pism literackich, włączają się do akcji ze wcale pokąźną sumką wydawcy, przygotowują się do udzielenia swojej nagrody księgarze. Nie ma bodaj tygodnia, byśmy nie czytali w gazetkach nazwisk nowej porcji laureatów.

Jak wiadomo, państwowe nagrody artystyczne znikły. Czy stało się — trudno przewidzieć. Raczej skłoniłby nas przypuszczać, że na jakiś okres przejściowy, który stworzy dystans pomiędzy pierwszą fazą tych nagród, a fazą następną, kiedy zasady ich udzielania zostaną jakoś zreformowane. Modnie jest teraz z dawnych nagród państwowych pokpiwać, ale przecież wśród laureatów — zwłaszcza za całokształt twórczości — było wiele nazwisk pisarzy naprawdę wybitnych. O nich jakoś zapominamy, choć ich wrożeń nienależnie na pewno nikt nie kwestionował ani nadal nie kwestionuje. Pudia trafiały się często tylko w nagrodach za pojedyncze książki. Było ich zbyt wiele, ale chciałbym skromnie zauważyć, że pomylił, jakie się w takich wypadkach zdarza, nie wypływały tylko z naszych, fałszywych założeń, z błędnej polityki kulturalnej. Powiedziemy inaczej: fałszywe założenia i błędne kryteria zdarzają się nie tylko u nas. Jeden jest tu przykład klasyczny: słynna nagroda literacka Nobla, uchodząca od lat 57 za najwyższe odznaczenie literackie świata. Gdybyśmy przejrzyli listę pięćdziesięciu siedmiu pisarzy, odznaczonych tą nagrodą, byłbyśmy zdumieni, jak wielu z nich poszło już w zupełne zapomnienie, jak wielu przeminęło bez większego znaczenia dla literatury światowej. Interesowałem się kiedyś tą listą, kiedy była jeszcze szczupła, bardzo pouczająca lektura.

Myszę, że jednak państwowe nagrody artystyczne nam potrzebne. Po prostu jako najwyższa forma uznania dla twórcy. Dlatego liczba ich musi być ograniczona. Chyba nawet do jednej w każdym dziale twórczości. (Jeden z pisarzy czeskich opowiadał mi, że gdy go kiedyś zapytano, do jakiej organizacji masyowej należy, odpowiedział: Jestem laureatem nagrody państwowej). Ale to sprawa dalsza. Aktualniejsze są nagrody bieżące, te, które świeżo spływają z taśmy.

Czy one — w przeciwieństwie do dawnych nagród państwowych — budzą powszechny entuzjazm i aprobatę? Wątpię. Sądzę nawet, że przynosią niedługo niespodziankę, niejedno zaskoczenie. Oczywiście — dla czytającego ogółu. A może nawet i dla wielu literatów, nie tylko dla tych, którzy się któregoś z tych wyróżnień spodziewali. Wrażenie niespodzianki ustala się zwłaszcza, gdy przeglądamy listy kontrkandydatów laureata. Czy czasem temu bardziej nie należała się nagroda? A może tamtemu? O! zawsze to jednak loteria i nie wiadomo, co i kiedy zaważy na ostatecznej decyzji.

Przed chwilą odłożyłem tom wierszy Aleksandra Wata. Nagroda „Nowej Kultury”. Przyszła jedna. Wiersze. Pisarz, który po wojnie milczał niemal zupełnie. Od czasu do czasu, po latach, naszych czasopism wymyślano mu zgryźliwe za jakieś przekłady. A oto nagle lata 1956—1957 przyniosły jakieś niewyżnane odrodzenie, drugą młodość jak się to mówi potocznie. Są w tym tomie wiersze bardzo dobre, są i świetne. Ale kto ich nie czytał, a przeczytał natomiast uzasadnienie jury, pomyśli, że Wata nagrodzono nie za jego rozkwitła na nowo poezję, ale za życiorys. Za to, że wybrał milczenie. Za tragedię osobistą lat wojny.

Sławomir Mrożek, laureat „Przeglądu Kulturalnego”, to także pewna niespodzianka. Satyrycy zresztą rzadko dochodzą do nagród. Ludzie ich czytają, lubią, ale jakoś mniej cenią od innych. Taki mamy kompleks czy zwyczaj. A poza tym, czy „Słoń” to naprawdę taka rewelacja? Dobra książka, nawet nie jako całość, dobre są poszczególne pozycje, ale niektórzy konkurenci do nagrody wydawali się mocniejsi.

Trzeci był Marek Hlasko. Przy nagrodzie wydawców krytycy zasądziły debiut książkowy — „Pierwszy krok w ciemnościach”. A to naprawdę pierwszy krok. „Osmi dzień tygodnia” i „Następny do raju” (czyli „Głupcy wierzą w poranek”) narobiły sporo hałasu. Ale i to wszystko jest jeszcze początkiem. Nie widzę w tym, jeszcze drugiego kroku. Jest tylko sprawdzian, czywistego talentu i są pierwsze, niepokojące sygnały manier. To raczej nagroda za nadzieję na przyszłość, które okazały się bardziej urzekające niż walory nie podlegające dyskusji.

Można mieć także inne wątpliwości, ale to bardzo dobrze, że do głosu dochodzą różne kryteria ocen. Tylko nie przyjmujemy ich rezultatów jako wyroków ostatecznych. Na pewno lepiej jest, gdy możemy wątpić w podobne decyzje i dyskutować nad nimi, niż tak, jak zdarzyło się piszącemu te słowa, gdy mu poważnie „określono” i „złagodzono” ocenę książki — słabej zresztą — jednego z laureatów roku bodaj 1953 czy 1954. A stało się to w tygodniku literackim.

I dobrze jest, że mamy wiele nagród, że mamy różne nagrody. Kiedy były jedne i jednolite, łatwiej zdobywali je zwykli kombinatory literacy. Pisali po prostu „pod kryteria”. Teraz jest to trudniejsze, chyba nawet niemożliwe.

Na zakończenie uwaga natury lokalnej. Felietonik Wacława Stanisła sprzed dwóch tygodni o nieznanych literatach, nagrodzonych w Bytomiu i Częstochowie, spowodował pismem protest MRN w Bytomiu z żądaniem sprostowania. W piśmie tym bytomska MRN referuje zasługi literackie swojej laureatki i uważa, że tego rodzaju krytyka, na jaką pozwoliła sobie redakcja „Magazynu Niedzielnego TR” podważa autorytet MRN. Ja natomiast sądzę, że autorytet podważają nieprzemysłane i niepoważne decyzje. Bo nagroda artystyczna to uznanie za zasługi, a nie za ewentualne, obiecujące nawet, pocztaki. I gdzież proporcja, mocnym panie, jeśli równocześnie nagradza się Bohdana Paprockiego?

ZDZISŁAW HIEROWSKI

LEONARD DRZEWIECKI

S O S N A

Zapalono gwiazdy mrozu.
Poplatano nitki dróg.
Plaszczynkami
śpiwnie dzwoni
lodowaty wiatr klus.

Trzeszcza iskrzy ślepi wilczych.
Drży w jaluwcu
skok zająca.
Biała sosna trwa i milczy,
skamieniała — bolejąca.

Nie uciekniesz.
Nie zapomnisz.
Na dnie morza
biała sosna

ZŁODZIEJ szybko ześliznął się z parapetu okna i zamari, starając się oswoić z sytuacją. Każdy szanujący się złodziej najpierw musi się oswoić z cudzym mieszkaniem, nim zacznie je sobie przylaszczować.

Złodziej znajdował się w prywatnej willi. Zamknięte na cztery spusty drzwi frontowe i nie strzyżony bluszcz podpowiadały mu, że właścicielka siedzi teraz gdzieś na marmurowym tarasie, omywanym falami oceanu i tłumaczy pełnemu współzucia młodemu człowiekowi w marynarskiej furaczerce, że nikt nigdy nie rozumiał jej samotnej i górnolotnej duszy. Oswietlone okna na trzecim piętrze w zestawieniu z końcem sezonu świadczyły z kolei o tym, że właściciel wrócił już do domu i wkrótce, zgasiwszy światło, pograży się we śnie. Wreszcie bowiem to taka już pora w życiu przyrody i człowieka, kiedy każdy przywioły ojciec rodziny dochodzi do wniosku, że stenotypistki i kabalety — to marność nad marnościami, a odkrywcy w sobie przemodne dążenie do przyzwoitości i doskonałości moralnej, jako do wartości bardziej trwałych, zaczyna pilnować w domu swojej legalnej połowicy.

Złodziej zapalił papierosa. Blask oświeconej dłoni zapalił oświecił na chwilę to, co było w jego twarzy najbardziej charakterystyczne — długi nos i sterzące kości policzkowe. Złodziej należał do trzeciej kategorii. Ta kategoria nie jest jeszcze zbadana naukowo i nie znalazła szerokiego uznania. Policja zapoznała nas tylko z pierwszą i drugą. Klasyfikacja jest niezwykle prosta. Odróżnia się ją po prostu po kolnierzyku.

Jeseli u schwytanego złodzieja po przeprowadzeniu oględzin stwierdzono, że nie posiada on krochmalonego kolnierzyka, oświadcza się nam, że jest to najniebezpieczniejszy wrodek, typ w stanie absolutnego rozkładu, co nasuwa podejrzenie, czy to nie on właśnie jest tym zatwardziałym przestępcą, który w roku 1878 ukrał z kieszeni kajdanki policjantowi Hennesy i bezcennie uciekł z aresztu.

Przedstawicielem drugiej poważniejszej kategorii jest właśnie złodziej w krochmalonym kolnierzyku. Nazywają go zwykle zło dzieciem dżentelmenem. W dzień jada zwykle śniadanie w smokingu lub spaceruje, przebrawszy się za tapicera, wieczorem natomiast przy stepie do swego głównego, ohydne go zajęcia — rabuje mieszkania. Matka jego jest bardzo bogatą i ciesząc się szacunkiem lady i mieszkając w najwytworniejszej dzielnicy Ocean Grove, Złodziej tej kategorii, gdy tylko znajdzie się w celi więziennej, natychmiast żąda, aby mu przyniesiono pilniczek do paznokci i świeży numer „Gazety Policznej”. Ma oczywiście żonę w każdym stanie, a narzeczona w pozostałych okolicach, gazety zaś serią ma reprodukcją portretu ofiar jego matrymonialnych zapędów, wykonywaną w tym celu wyciągnięte z archiwów fotografie chorowitych osób płci żeńskiej, z których leczenia zrezygnowali już wszyscy lekarze, a które zostały uleczone jedynie dzięki użyciu zawartości flakonu pewnego patentowanego środka leczniczego, odczuwamy znaczną poprawę już po pierwszym tyku.

Złodziej nosił niebieski sweter. Nie należał ani do kategorii dżentelmenów, ani do kategorii kucharzy z Piekłnej Kuchni. Gdyby po liście próbowała go zakwalifikować, znalazłaby się niewątpliwie w ślepej uliczce. Nie zdarzyło się jej jeszcze słyszeć o solidnym, umiarkowanym złodzieju, który ani nie zdradza tendencji do upadku na samo dno, ani też nie próbuje się wnieść zbyt wysoko.

Złodziej trzeciej kategorii, skradając się, zaczął posuwać się naprzód. Nie miał na twarzy maski, nie trzymał w ręku latarki, a na no-

gach nie nosił pantofli na kauczkowej podeszwie. Zamiast tego wszystkiego zaopatrył się w rewolwer kalibru 38 i w zadumie żuł gumę o smaku miętowym.

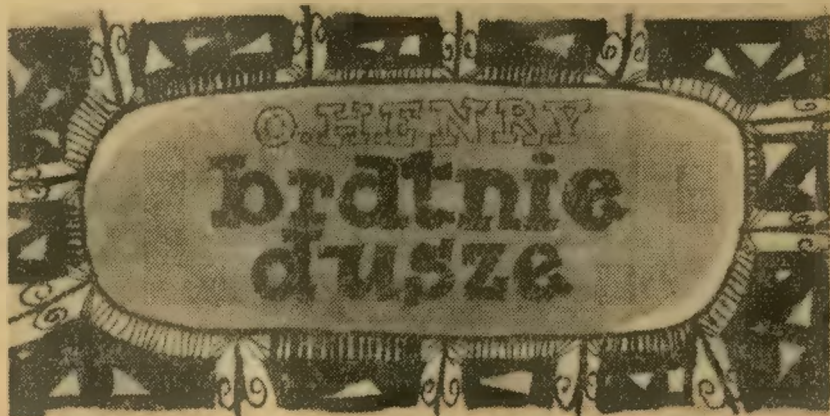
Mebłe stały w pokrowcach. Srebrno schowane w sejfach. Złodziej nie liczył na łup zbyt bogaty. Droga jego prowadziła w kierunku słabo oświetlonego pokoju na trzecim piętrze, w którym spał głębokim snem gospodarz, zażywający odpoczynku po uciechach, których tak czy owak musiał szukać, aby nie zgiąć pod brzemieniem samotności. Tu właśnie należało poszperać za uczciwym, legalnym, zawodowym

to niech pan rabuje. Zabieraj pan to z tego stolika.

— Proszę mi wybaczyć — rzekł złodziej i uśmiechnął się boleśnie. — Mnie też pokreśliło. Ma pan, zdaje się, szczęście. Obaj zawarliśmy dobrą znajomość z tym reumatyzmem. Mam go też w lewej. Każdy inny na moim miejscu przedziurawiłby pana na wylot od razu w momencie, kiedy nie chciał pan podnieść tej swojej lewej graby.

— A dawno go pan ma? — zainteresował się człowiek w łóżku.

— Już piąty rok. Teraz to już się nie odczepi. Wystarczy raz taką przyjemność złapać i przepaść.



zyskiem. Może nawet się pod rękę trochę groza, zegarek, szpilka z szlachetnym kamieniem, słowem, nie takiego rewelacyjnego, żadna sensacja — po prostu spostrzeżenie otwarte okno i spróbowanie szczęścia.

Bezszenieście uchylił drzwi do słabo oświetlonego pokoju. „Koszulka” gazowej lampy była przyziemiona. Na łóżku spał człowiek. Na nocnym stoliku leżały w nieporządku różne przedmioty: zwłitek zmitych banknotów, zegarek, klucze, trzy fiszki do pokera, kilka złamanych cygar i różowy, jedwabny bandaż. Obok stała butelka wody seicerskiej, przygotowana na rano.

Złodziej zrobił trzy ostrożne kroki w kierunku stolika. Spłycy złośnie jęknął i otworzył oczy. W jednej chwili sięgnął prawą ręką pod poduszkę, ale nie zdążył jej już wyjąć.

— Leż spokojnie! — powiedział złodziej normalnym, ludzkim głosem. Złodzieje trzeciej kategorii nie mówią szwaczczym szeptem.

Człowiek w pościeli spojrzął w otwór skierowanej na niego lufy i zamiał.

— Ręce do góry! — rozkazał złodziej.

Człowiek miał kasztanową, szpakowatą, podstrzyżoną w klin brodkę, taką, jaką miewają dentyści, którzy twą żeby bez bólu. Robił wrażenie „solidnego”, „zawołanego” obywatela i — jak widać — był bardzo zgorzkniały, a w tym momencie w dodatku wściekły i oburzony. Usiadł na łóżku i podniósł prawą rękę.

— No... dawaj pan drugą! — rzekł złodziej. — Może pan maikut i strzelasz z lewej? No jak? Nie umie pan liczyć do dwóch? Żywo!

— Nie mogę jej podnieść — odparł tamten z bolesnym grymasem.

— A co się stało?

— Reumatyzm.

— Ostro?

— Był ostro, a teraz jest chro-

niczny.

Złodziej stał dobrą minutę w milczeniu, trzymając reumatyka na muszce. Rzucił ukradkiem spojrzenie na nocny stolik z rozrzuconym na nim łupem i zmieszany znów wpatrywał się w człowieka siedzącego w pościeli. Nagle twarz jego równie wykrzywił grymas bólu.

— Niech mi pan nie krzywił twa-
geby — z rozdrażnieniem syknął na padnięty. — Przyszedł pan rabować,

rzajacy bóle pulweryzator Potta”, to jakby nieco się poprawiło. Ale zdaje mi się, że najbardziej to pomógł mi ten koński kasztan, który stało nosiłem w lewej kieszeni.

— A kiedy panu bardziej daje się we znaki, rano czy w nocy?

— W nocy — odparł złodziej.

— Właśnie wtedy, kiedy mam robotę. Ale... niech pan już spuści tę rękę... Przecież nie będzie pan... A „Srodka Blinkerstaffa na oczyszczanie krwi” pan używał?

— Nie. Jakoś nie przyszło mi na myśl. A pana jak męczy — atakami czy tak bez przerwy?

Złodziej usiadł na łóżku. Rewolwer położył na kolanach.

— Skokami — powiedział. — Rzucił się na człowieka, kiedy najmniej się tego spodziewa. Musiałem wyrzucić się wyższych pięter. Już dwa razy tak mnie pokreśliło,

że utknałem w pół drogi. Wle parę, co panu powiem? doktorzy zielonego pojęcia nie mają o tej chorobie.

— Ja też tak uważam. Wydałem tysiąc dolarów, a wszystko na nic. U pana puchnie?

— Z rana. A przed deszczem to po prostu wytrzymać nie można.

— U mnie tak samo. Wystarczy, że jakiś tam parszywy obłoczek wielkości serwetki ruszy z Floridy w naszym kierunku, a ja już czuję, że się zbliża. Albo wystarczy przejść koło testu, kiedy dają tam ten „placizmy melodramat”. „Mgły nad bagnami”, a wilgoć wpia się w ramię tak, że wprost kasa, jakby miała zęby.

— Nic do tego dodać nie można. Pieknele męki — zgodził się złodziej.

— Ma pan rację — westchnął oby-
wateł.

Złodziej spojrzął na swój rewolwer i z udaną, sztuczną nonszalancją włożył go do kieszeni.

— Słuchaj no, przyjacielu — powiedział usiłując ukryć zakłopotanie. — A nie próbował pan opodeldoka?

— Bzdura! — odparł gniewnie człowiek w łóżku. — Z takim samym powodzeniem można nacierać się masłem.

— Zupełnie słusznie — zgodził się złodziej. — To nadaje się tylko dla maleńkiej Minnie, którą podrapał kotek. Powiadam panu, że marne nasze widoki. Tylko jedna rzecz na świecie pomara. Dobra, stara, rozgrzewająca i rozswetlająca serce gorzalka... Słuchaj stary, proszę się na mnie nie gniewać... To zupełnie inna sprawa... Ubić się pan i skończy na jednego. Niech pan mi wybaczy, jeżeli... Och, psia krewo! Znowu chwycił!

— Już od tygodnia nie potrafię ubrać się sam, bez pomocy. Obawiam się, że mój kłak Tomasz już się położył i...

— Głupstwo! Wyłał pan z tego wyra. Pomogę panu narzucić coś na siebie.

Względem przyzwoitości i inne konwenanse podniósł się wysoka fala w świadomości obywatela. Pogladził swoją siewięcą brodkę.



Rys. JAN NOWAK

— To jest zupełnie nie praktykowane...

— Masz tu pan swoją koszulę — powiedział złodziej. — Właż pan w nią. A swoją drogą jeden facet mówił mi, że „Masz Omberry” tak go postawiła na nogi, że już po dwu tygodniach używania mógł własnoręcznie „zawijywać” sobie brawat.

Gdy był już na progu, obywatel zatrzymał się nagle i zawrócił.

— Niewiele brakowało, a wyszedłbym bez pieniędzy. Położyłem ja-
wczoraj na nocnym stoliku.

Złodziej gwałtownie chwycił go
za ramię.

— Daj pan z tym spokój — powie-
dział z grozą w głosie. — Ja za-
praszam — ja stawiam. Na tę ko-
lej jeszcze mi starczy.

Idziemy!

Przełożył M. K.

Piszemy tylko o książ-
kach dobrych, że niech
reklamują się same.



NIE, NIE BĘDĘ pisał o książce Iry-
kowskiego noszonej
taki tytuł, bo wznowie-
nie jej w ostatnim wyda-
niu zbiorze „Ciekawy i
leżący kaliber” wymaga-
łoby specjalnej uwagi i
wiecej miejsca. Chodzi po
prostu o lekturę reprezen-
tującą leżący kaliber pi-
sarski, a przy tym nie
reżisera, dobra — słowem
taka, która mogłaby pole-
cić naszym czytelnikom
bez obawy wprowadzenia
ich w stan senności. Tym
zaś wyjątkowym czytelnik
koin, który czyta po to,
aby łatwiej zasnąć, nieste-
ty nie będzie radził wybo-
ru. Wskazywać aby w naj-
bliższej księgarni kupił ja-
kąś z tych...

wiedzy, w roku 1952 —
może to być nawet dzie-
ło odznaczone nagrodą
państwową z tego okresu.
Cierpiemy zaś na wyjąt-
kową beznosność mogą po-
lecić niezastąpione do-
tychczas, a 100 lat temu
wydane dzieło, pod wielo-
obiecującym tytułem: „A-
negdety i fraszki dozna-
nej usypiającej własno-
ści przez Komitet Medycz-
ny sprawzone i approba-
wane”. Upamiętnia. Ze
trudno będzie te książki
znaleźć, gdyż w latach
1850—54 wszystkie egzem-
plarze zostały wykonane
z antykwaratów przez dy-
rektora i redaktorów wy-
dawnictwa „w ramach”
szkolenia zawodowego.

Potem była odwołanie
następnie Październik, calo-
roczne dyskusje o wydaw-
nictwach i w rezultacie ma-
my tak wielki wybór do-
brych książek, że nie ty-
ko przeciętny, ale i wy-
robiony czytelnik stracił
już orientację w lawinie
nazwisk i tytułów. Trze-
ba więc pomagać w wy-
borze. Dla każdego coś
dobrego. Dziś — literatu-
ra lektura, rozrywkowa.

Najpierw o „Lok”.
Przedstawicielem starszego
i średniego pokolenia czy-
telników, uszykowany sło-
wem „Lok”, od razu wi-
dzi, że to nie jest...

książkami i rozróżniami o-
sobistymi kontaktami z
tzw. terenem. Książki tej
są z rezultatem czasu prze-
stają być potrzebne i nale-
ży je sobie liczyć z
tym, że to samo spoka-
nowe wydanie wyboru i
„podsumowania” jej dzie-
ła i „Moja wojna trzydzie-
cioletnia”. Tym bardziej,
ze książka ta ukazała się
w dobrej u czytelników
zapasanej serii „Bibliote-
ki saury” z ilustracjami
niezawodnej Maji Bere-
zowskiej. Oprócz felieto-
nów tom zawiera „Na-
ustach grzechu”, „Wielki
ziemi”, „Maleńkie karo”.

A teraz cofnijmy się o
dwadzieścia kilka wieków
i wyobraźmy sobie, że in-
kisz wehikuł czasu prze-
rzucał nas do starożytnego
Rzymu, a następnie do
Pompej. Jakich fantastycz-
nych pomysłów i jakie możli-
wości kapitalnych skojar-
zeń i komizmów „sy-
tuacji” przyniosły ludzki
współczesny, przeniesio-
nych w epokę starożytną
i następnie powracających
w wiek XX, są tematem
świetnej powieści Wład-
ysława Zambrowskiego „Na
ma pani radona”. Lek-
kość, pomysłowość, intelig-
jencja, zaprezentowana
evidencja oraz nieustająca
humor — oto cechy, któ-
re zjednały tej książce
już ponad milion dużej po-
wodności.



W ostatnich kilku
miesiącach liczba wi-
dów w kinach zachod-
nie — niemieckich spa-
ła o 30 procent. Przyczyna tego stanu jest
coraz większy rozwój
telewizji. Walka pomie-
dzi X i XI maza roz-
gorzała na śmierć i ży-
cie.

Pewna znana ame-
rykańska drużyna na base
ballowa sprzedała za 2
miliony dolarów prawa
transmisji telewizyjnej
jej rozgrywek.

W ubiegłym roku
w Szwecji liczba po-
słuchaczy telewizorów
wzrosła pięciokrotnie.
Niedawno zarejestrowa-
no 60.000 abonentów. W
związku z tym radiofi-
zyczna audycja urzą-
dzenia była poważna rozbu-
dowa sieci telewizyjnej.

W województwie
katowickim telewizory
posiada obecnie około
3.000 osób. Do tej pory
zarejestrowano jednak
zaledwiek 900.

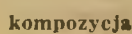
W siedmiu miastach
USA zastawiono
no specjalne urzęda-
nia, które w ciągu ca-
łego dnia co 90 sekund
wskazują, ilu abonen-
tów ogląda w danej
chwili program telewi-
zji. Przy niecieka-
wych audycjach urzą-
dzenia te natychmiast
sygnalizują masowe
wyłączenie odbiorników.

Japonia jest coraz
poważniejszym konkurentem
firm produkujących
sprzęt radiotechniczny
i telewizyjny. W roku 1957 eksportowa-
ła ona do wielu krajów
ponad 700.000 odbiorników
radiowych, zdobywając
tamten rynek amerykański.

W Los Angeles wy-
dano rozporządzenie na-
otwieranie nowej stacji
telewizyjnej, która od
tychczasowych różni
się będzie nienadawa-
niem audycji reklamow-
wych. W związku z
tym odbiory programów
będą musieły ponieść
pewne opłaty.

Dopiero w jednym
kraju walka pomiędzy
telewizją, a radiem roz-
strzygnięta została na
korzyść tej pierwszej.
Krajem tym jest Anglia.
Jak wykazały ostatec-
nie dane statystyczne
na Wypasach Brytyjskich
jest w tej chwili
7.398.000 telewizorów
i tylko 7.269.000 aparatów
radiowych. Przewi-
duje się, że nie jest to
ostatnie słowo telewi-
zji.

Dyrektor techniczny
BBC (brytyjskie to-
warzystwo radiowe i
telewizyjne) stwierdził
na podstawie dotych-
czas przeprowadzonych
prób z telewizją kolono-
wa, że na ora w Anglii
poważne zranie roz-
woju. (—ust—)



Rys. A. WOŹNIAK

Bogusław Górecki, profesor ASP, dyrektor artystyczny WAG, kształci młodych plakacistów śląskich, którzy smacznie uradzą po zaszczytnych konkursowych nagrodach i wyróżnieniach.

nych konkursowych nagro-
dach i wyróżnieniach.



Stary Montmartre — dzielnica malarzy

PRZEJŚCIE PRZECZ
RUE DE SEINE

ULICZCE powietrze miało kolor błękitnego dymu, dzień był beznadziejny. Owoce i warzywa, ryby, książki i obrazy, chudy i twardy jak kamień, wylazły z kłębów światła. Na obrazach tych nie było ani zwierząt, przedmiotów ani drzew. Na poręczach kłębów się walczyły ze sobą czerwone i czarne plamy, rozdzierały się wzajemnie i wychodziły z nich okropiające białe światła. Tworzyły tych obrazów siedzieli przy swoich przyjaciółmi i rozmawiali... o czym, nie wiem. Inni w swoich pracowniach, mieszczących się obok sklepików, malowali nowe obrazy, wycierali ręce z farby. W powietrzu były jeszcze wilgotne. Idąc ulicą mijano się co krok z wystawami: tasiemki obok abstrakcjonistów, surrealistów

Van Gogha, widać zieleńce, listów, egzystencjalistów, zwostrzyżone trawki i krzewy. Ilenikow najnowocześniejszy. Na ławce siedzi młoda para, szych prądów artystycznych, młodzi calują się długo i żarliwie, ale to wszystko nie ma naj-

kiej galerii przy cichej ulicy de Seine, gdzie powietrze jest modre, gdzie srebrne i różowe ryby, banany, ananasy, jedwabie, obrazy i twarze kobiet wydzielają światło. Widzę arystę: obdartą tekturową walizkę, stare sakpalto, karton, na którym rozkłada prawdziwszy od prawdziwego bukiecik bratków.

To jest miasto, w którym kwitną wszystkie kwiaty, kwitną i nie boją się, że przyjdzie ktoś nieuczciwy, brutalny, lub lekkomyślny i zacznie je jedne deptać, drugie ścinać a inne przesadzać.

MUSEE GREVIN

MIAŁEM szczęście być na zjebraniu najsławniejszych ludzi XX wieku: obracałem się wśród głów koronowanych, wymieniałem uśmiechy z księżniczkami, byłem przyjęty przez Ojca świętego, brałem udział w spotkaniu ministrów spraw zagranicznych czterech mocarstw. To wszystko odbyło się w zwrotnym tempie. Trzydzieści minut wystarczało na zapoznanie się ze znakomitościami.

W pewnej chwili poczułem na sobie ostre, przeszywające spojrzenie. Drgnąłem. Przede mną stał policjant w czarnej pelerynce, z wąsikami. Nie, nie miałem przy sobie ani sztyletu, ani bomby, nie miałem złych zamiarów wobec wielkich i znakomitych ludzi. Zrobiło mi się jednak nieprzyjemnie. Policjant stał bowiem ukryty w cieniu ko-

tam śledzącą na lech Piekna blondynkę. Jego chętna się do mnie zachełgała. Uśladłem na drugim końcu ławki. Nawiązała się między nami owa niewidoczna nie sympatia, jaka w kwietniowy dzień snuje się z sercem i oczu obcych sobie ludzi. Pani nie odchodziła. Miała bardzo niebieskie, świetliste oczy, nie poruszała się, nie oddychała. Kiedy odchodziłem uśmiechała się czarująco. To nie, że była z wosku, podobnie jak policjant i inne osoby, które się zebrały w Musée Grevin. Była bardzo miła, nie płała głupstw i obdarzyła mnie przychylnym spojrzeniem. Po wyjściu na ulicę nie mogłem się przez dłuższą chwilę przyzwyczaić do tego, że ludzie poruszają się bardzo szybko, gestykulują i ciągle zmieniają wyraz twarzy.

SPACERY
I SPOJRZENIA

OLEGŁOŚCI są tu olbrzymie. Metro jest doskonałym środkiem lokomocji, Metro, autobusy, powozki, skutery, samochody... Jednak stary zwyczaj chodzenia na dwóch nogach ma też swoje zalety. Ten sposób poruszania się jest czasem nie zastąpiony.

Tylko piechur może „parkować” w każdym miejscu. Samochód jest w Paryżu podobno niepraktyczny. Jeden z właścicieli wspaniałego wozu zwierzył mi się, że już teraz poruszanie się samochodem po Paryżu jest męką. Samochodów jest tu za dużo. Zrobiło się ciasno. Należy

W styczniu o kwietniowym PARYŻU

TADEUSZ RÓŻEWICZ

łownie, z daleka podobni są mniejszego wpływu na malachumny i zjawili się przede mną jednak do tych szczęściarzy, by są wilgotne. W niebieskiej

LE PRINTEMPS

W GALERII Louise Leiris wystawa Picassa „Peintures 1955-1956”. Wśród starych kamieni na Rue de Monceau nowy, biały dom. Wszędzie przy wejściu kręcą się robotnicy. Zakładają instalacje. Na dole otwarta galeria Louise Leiris. Przez okna widać dziedzińce domu. Leżą materiały budowlane, nad ścianami i rusztowaniem porusza się żelazne ramię dźwigu. W sali jest bardzo jasno. Nie tylko ściany, srebrzyste ekrany, światła jarzeniowe składają się na ową świetlistość. To obrazy i ceramika starego malarza wydzielają światło. Dwa największe płótna na wystawie: „Le Printemps” i „L'enfant”. Nie wiem, czy to obrazy są najlepsze na wystawie, która obejmuje dwa lata pracy malarza. Być może są dla mnie najciekawsze ze względów pozamalarskich. Jeszcze niedawno Picasso wystawiał „Masakrę na Korei”. Obraz, gdzie grupa uzbrojonych robotów wymierzała broń w nagie ciała kobiet i dzieci. Tem był wypalony jądrowy krajobraz wojenny. Głębiej za tym obrazem ciągle widzimy dramat Guerniki.

Tymczasem tutaj Picasso jest pełen radości; różowy i zielony. Picasso sielankowy. Takiego nie znamyśmy. W „Le Printemps” dominuje zieleń czysta, młoda; ale wychodzi ona z mocnych korzeni ukrytych w wiosennej ziemi. Spiący pastuszek i koza, która ogryza liście drzewa, są jedyne aktorami sielanki. W „L'enfant” czarny ostry kontur obrysowuje różowy, świetlisty kształt dziecka. Świat spokojny, statyczny. Jest tak, jakby wstrząsy świata, dramaty rozbitych ludzi i brył, zanurzały się w niepamięć.

Wielki dramaturg współczesnego malarstwa uśmiechnął się do nas.

JESZCZE OBRAZY

O CZYM MYŚLAŁEM patrząc na to obryzanie zbierawisk arcydzieł, jakim jest Louvre? Myślałem o tym, czy to dobrze, czy źle, kiedy obrazy interesują więcej niż żywi ludzie. Z wie- zym bowiem zainteresowa- kie ciekawe i bogate są po- norównaniu z twarzami

trochę do przaw. Stary nadzorca zamiast pilnować beczennych dzieł sztuki patrzy przez okno na tamtą parkę. Widocznie starszemu dzieła sztuki już się przeja- dły.

Tymczasem zwiędający przybierają przed obrazami pozy i robią miny takie, na jakie ich stać. Jak zwykle, największy kłopot jest z rekami. Różowy Niemiaszek wsadził obie ręce w kieszenie tyrolskich portek i wypiął się brzochem na obrazy. Z całej postawy jegomościa bije niezwykła pewność siebie, nie pokory, tak, jakby stał przy bulecie. Konsumpcja sztuki nie różni się u wielu turystów od konsumpcji parówek i piwa.

Tymczasem barwy na płótnach genialnego szaleńca zapalają się i drżą, a on sam zielonkawy, z czerwonorudą brodą patrzy zimnymi jasnymi oczami ze swojego autoporretu. Inna sprawa, że trzeba ludziom wybaczycie ową gimnastykę pod obrazami wielkich mistrzów — łatwiej jest przecież podchodzić i odchodzić, przechylać głowę na ramie, przysmakować oczy i podskakiwać, niż powiedzieć coś rzeczowego na temat oglądanych dzieł. Cóż można powiedzieć stojąc przed Giocondą? Może jedynie mistrz aforyzmu, Adolf Rudnicki, powie: „Ona ma jednak COS”.

MIEJSCE
DLA BRATKÓW

W PARYŻU spotykają się wszystkie szkoły, kwitną wszystkie kwiaty. Silna indywidualność potrafi jednak obronić się przed modą, magią sławnych nazwisk, naciskiem tradycji. Ani Louvre, ani Picasso, ani tasiemki nie wpłynęły na twórczość tego malarza, którego zobaczylem pewnego kwietniowego ranka siedzącego na bulwarze St. Germain. Człowiek ten miał rozłożony na tekturowej walizeczce biały karton. Szkolnymi kolorowymi kredkami rysował na tym kartonie wianuszek bratków. Malarz wyjął kowo starannie opracowywał kształt płatków i listków. Kiedy w południe wracałem do siebie, artysta ciągle jeszcze siedział nad tym samym kartonem i przy pomocy gumki przeprowadzał korektę. Obok stał policjant i w skupieniu przyglądał się pracy malarza, by tylko zresztą jedyny widz. Niezwykła cierpliwość obojętność na otoczenie, złoć nicza dokładność, oto cechy tego nieznanego malarza. W d'awej walizce widać było innych kartonów, z których kwiatami.

Wiosna wzniosła, bo-

za bratków. W pęczone „le były otwarte wystawy” Mondriana i Picassa, w tym czasie najnowsze płótna Paul Jenkinsa wybuchały w niewiel-

zbyt niespodz. „Zmiesz- skany, dotknąłem kieszeni, w której był paszport. Szybkim krokiem przyszedłem do mniejszej salki i zauważyłem

co nie mają samochodu i idziemy na pieszy spacer.

Montmartre w wiosenny poranek wygląda jak obraz Utrilla na którym jeszcze far-

I. ŁAGUNOWA, DYR. INSTYTUTU
RADIOLOGII I RADIOSKOPII MIN.
ZDROWIA ZSRR

„Należy przypuszczać, że w ciągu dwudziestu — trzydziestu lat odra, gruźlica, szkarlatyna, dyfteryt i cały szereg innych chorób zostanie całkowicie opanowanych. Niewątpliwie też uda się ułamać raka. Śledząc ogólną tendencję rozwojową medycyny łatwo już dzisiaj dojść do wniosku, że lekarz (a więc ten, który leczy) staje się powoli człowiekiem, którego zadaniem jest chronić przed chorobami. Już dziś zna jest termin: lekarz-profilaktyk”.

PROF. HARRISON BROWN (USA)

„Stulecie przyszedł będzie najbardziej krytyczne w dziejach ludzkości. Jeśli jednak je przetrwamy i jeśli uda się nam zachować dotychczasowe tempo rozwoju przemysłu, wówczas otworzą się przed nami cudowne perspektywy. W dziedzinie demografii rozwój biochemii pozwoli nam regulować dowoli urodzenia. Naukowcy się użytkować energię słoneczną, wykorzysty-

(Dokończenie ze str. 1)

wać lepiej energię nuklearną, korzystać z energii zawartej w wodzie, kamieniach itp. Tak więc, bez wątpienia wiek następny będzie okresem szczytowego rozwoju ludzkości, pod warunkiem, że potrafimy znaleźć środki polityczne, społeczne i moralne, które pozwolą nam zachować pokój”.

DR CLIFFORD C. FURNAS, PROF.
CHEMII UNIWERSYTETU W CHICAGO

„Będziemy musieli odpowiedzieć na dwa pytania, pozornie bez znaczenia, niemniej jednak ważne dla dalszego rozwoju ludzkości. A więc, po pierwsze: dlaczego trawa jest zielona? I po drugie: w jaki sposób ostrzygi absorbują miedź z wody? Problem koloru trawy jest problemem fotosyntezy i gdy go rozwiążemy, będziemy mogli wywalać ją szuternie, co pozwoli nam na pełne pokrycie zapotrzebowania na paliwo. Odpowiedź na drugie pytanie pozwoli nam czerpać pełną garścią bogactwa mórz, a mianowicie: cynk, miedź, chrom, wanad, złoto, srebro itd. W ten sposób byłby rozwiązany problem zaopatrzenia w metale”.

A. SAUKOW, CZŁONEK AKADEMII NAUK ZSRR

„Podczas ostatnich czterdziestu lat człowiek wydobyl z ziemi więcej metali niżelaznych, niż podczas całej swej uprzedniej historii. W niektórych krajach bogate dotąd złoża zaczynały się wyczerpywać, co stwarzało potrzebę nowych poszukiwań. I tu niewyczerpanym źródłem bogactw mineralnych okazała się zwykła skała tworząca skorupę ziemi: granity, bazalty itd. Jak wykazały obliczenia w 1 km sześć, zwykłych skał znajduje się mniej więcej: 200 milionów ton aluminium, 130 milionów ton żelaza, 260 tys. ton miedzi, 7 tys. ton uranu, 13 ton złota, 100 tys. ton cyny itd. Aby jednak wydobycie te metale człowiek potrzebuje ogromnej ilości energii i tu jest sprawa oczywista, że uciec się musi do energii atomowej”.

DR JAMES BONNER, PROF. BIOLOGII INSTYTUTU
TECHNOLOGICZNEGO W KALIFORNII

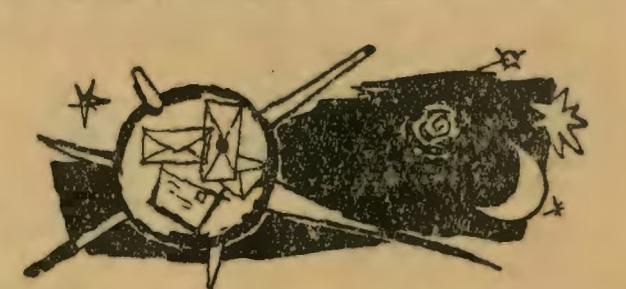
„Z pewnością poznamy dobrze wszystkie szczegóły reakcji molekularnych będących podstawą wszelkiego życia. Pozwoli nam to na dokładną kontrolę przemiany materii i leczenia wszystkich chorób. Ale nawet wówczas człowiek będzie potrzebował pożywienia i chociaż istnieje na pewno granica możliwości wyżywieniowych, to jednak będzie można wyżywić ludność nawet czterokrotnie liczącą się dziś. Oczywiście, nie przejdzie nam beztęsknie. Człowiek żywić się będzie białkami roślinnymi, któremu sztucznie nada się smak mięsa”.

I. NIECZAJEW, PISARZ RADZIECKI

„Jeśli wiek XX był wiekiem chemii kolorowej, wiek XXI stworzy nową dziedzinę chemii: chemię smaków i zapachów. Chemicy stworzą sztucznie wszystkie zapachy, jakie ktokolwiek zna. Ba, nie tylko stworzą, ale i zaopatrzą w nie wszystkie substancje jadalne, jak węglowodory i białka. Fabrykować się będą w wielkich zakładach, czynnych bez przerwy i zużywających tylko powietrze, wodę i energię”.

HERMAN MULLER
PROF. UNIWERSYTETU INDIANA,
LAUREAT NAGRODY NOBIA
W DZIEDZINIE GENETYKI

„Jeśli światu uda się uniknąć czterech wielkich kłes, grożących nam dzisiaj, a mianowicie: wojny, tyranii, prze ludnienia i fanatyzmu, najbliższe lata przyniosą nam rewolucyjne zmiany. Będziemy mogli bez wątpienia kontrolować rozwój embrionu i wpływać na dziedziczność, a tak że regulować płęć dzieci. Przeludnienia unikniemy jednak



tylko wtedy, jeśli na całym świecie zwycięży idea regulacji urodzin, w interesie zresztą przyszłych pokoleń. Każda kobieta będzie miała moralny obowiązek wydawania na świat dzieci możliwie jak najlepiej wyposażonych przez naturę. Sztuczna ciąża będzie zjawiskiem zupełnie normalnym. Pozwoli ona rodzicieli dające ideałami męskimi i żeńskimi. Aby jednak do tego doszło, metoda ta będzie musiała być powszechnie stosowana. W przeciwnym razie, niektóre narody wzniosłyby się na taki poziom, że stałyby się praktycznie niewyciężone. Wiemy, do czego by to doprowadziło. Ludzkość nie może sobie pozwolić na to, by każdy naród wysłał swoje „spitniki” genetyczne. Postaramy się zrobić wszystko, aby uczynić naturę człowieka bardziej szlachetną, piękniejszą, szlachetniejszą, aby zapewnić panowanie pokoju, wolności i rozumu”.

DR JOHN WEIR, PROF. FIZJOLOGII INSTYTUTU
TECHNOLOGICZNEGO W KALIFORNII

„Dokładne poznanie chemii przemiany materii i procesów organicznych pozwoli nam na zbadanie systemu nerwowego. Będziemy więc mogli wzmocnić sprawność biologicznej komórek nerwowych, wyeliminować ich choroby, zmodyfikować ich wrażliwość, przeobrazić myśli i pragnienia człowieka i co najważniejsze, nauczymy się wzmocnić sprawność mózgu. Radykalnie zmieniać metody nauczania. Nie będą już — jak dziś — opierały się tyle na słowach, co na innych zmysłach. Wiedza, zebrana w „bankach elektronowych” będzie, być może, transmitowana bezpośrednio do systemu nerwowego za pomocą impulsów elektrycznych”.

JAK WIEC widzimy, wiele się zmieni na tym świecie w ciągu naszego życia. Z pewnością będzie można podróżować na Księżycu stosunkowo nawet tanio, gdyż należy przypuszczać, że kosztowny, termojądrowy napęd rakiet międzykontynentalnych zastąpiony zostanie tanim napędem chemicznym. Stworzona zostanie regularna sieć komunikacyjna między Ziemią i bliższymi planetami, za pomocą całej serii sztucznych satelitów, które krążyć będą wokół Ziemi na różnych wysokościach. Każdy z nich będzie zresztą miał inne zadanie. Niektóre służyć będą dla celów telewizyjnych, inne dla radia, a jeszcze inne zastąpią nam naszą dotychczasową pocztę. Wiadomości przekazywać się będą za pomocą radia, a sztuczny satelita dostarczy je w ciągu kilku minut do najodleglejszego nawet punktu na Ziemi. Będzie wreszcie cały szereg sztucznych satelitów służących jako stacje końcowe dla podróży międzyplanetarnych. Stacje te będą zamieszkałe przez stałych urzędników i do starzeć będą wiadomości meteorologicznych, które pozwolą na dokładne przewidywanie pogody na Ziemi.

A pamiętacie, jak śmiano się z pewnego pana, który na- zwał się Jules Verne? A... A... A... A. KARCI

KRÓTKO PO WOJNIE wyprodukowany został w Niemczech wstrząsający film pt. „Mörder sind unter uns”. Ujawnił on „zadekowanie” się zbrodniarzy hitlerowskich wśród ludności Niemiec. Po kapitulacji zdjęli z siebie mundury „SS-owców, gestapowców i innych katów, wnieśli się w tłum i znikli. Szybko zapomnieli o swych przestępstwach, stali się przykładowymi ojcami rodzin, solidnymi pracownikami, punktualnymi podatnikami.

Film wywarł ogromne wrażenie za granicą. Szybko jednak znikł z ekranów. W Niemczech w ogóle go nie pokazano. Może dlatego, że był za cennie wymierzony? Że bezlitośnie demaskował? Może uważano, że naród niemiecki jeszcze nie dorósł do słuchania prawdy?

Bo o tym, że prawdę mówi twórca tego filmu, utalentowany reżyser Staudte, świadczą liczne procesy, wciąż jeszcze wytaczane przypadkowo zidentyfikowanym mordercom.

W marcu 1945 r. na rozkaz generała SS Kammlera, który pod koniec wojny popełnił samobójstwo zamordowano osławionym strzałem w tył głowy 208 więźniów obozu w Warstein, kobiet, dzieci i mężczyzn, obywateli Związku Radzieckiego, przymusowo wywiezionych ze swego kraju na roboty do Westfalii. Wyprawa została ich w nocy do lasu w Suttrop i zamordowano. Z zimną krwią, bez rozprawy sądowniej, bez wyroku.

Zgrozą i gniewem przejmują ta zbrodnia. Ale po tysiącach większym gniewem i zgrozą przejmują cynizm i obojętność oskarżonych. Jest ich sześć SS-mannów. Helmut Gaedt, major dywizji „Z. V.” („Zur Vergeltung” — odwetu), po wojnie wykładowca w szkole w Slezewie, żonaty, ojciec dwójki dzieci. Wolf-

Zołnierze dali im chleb i wodę. Nagle ktoś krzyknął: — Precz z tą bandą! To złodzieje i szabrownicy! — Poznałem go, że to krzyżał Kammler. W dwa dni później zatelefonował do mnie oficer dyżurny: — Zgłosił się natychmiast w sztabie! Gdy przyszedłem, powiedziano mi, że trzeba rozstrzelać kilku bandytów rosyjskich, których złapano przy pładrowaniu. Zapytałem dlaczego na mnie padł wybór. Odpowiedziano mi: — Jest pan oficerem tak jak inni. Proszę odejść! Dalsze rozkazy otrzymał pan od sędziego polowego Wetzlinga. — Poszedłem do Wetzlinga i zapytałem, czy muszę wykonać rozkaz. Wetzling odpowiedział: — Oczywiście! To rozkaz komendantury.

Gaedt następnie opisuje szczegółowo, jak pojechał do lasu, jak wyszukał odpowiedniego miejsca na egzekucję, jak udał się do obozu radzieckiego i za pokwitowaniem „odebrał” 20 więźniów do pracy. Wrócił z nimi do lasu. Ziemia była jednak bardzo twarda. Nie chciał, jak mówi, przebiec ludzi i postarał się o materiał wybuchowy. Po użyciu czterech czy pięciu ładunków praca poszła łatwiej. Więźniów wrócił obozu znowu za pokwitowaniem. — Następnie pojechałem do swojej kwatery. Wieczorem zameldowałem się u mnie podoficer...

Przewodniczący: O której godzinie to było?

Gaedt: Pod wieczór. Omówiliśmy sprawę. Mieliśmy wyjechać o godz. 22,30. Mieszkańcy Warsteinu słuchając nas do godziny 22 radia i po wiadomościach wieczornych idą spać.

— O godz. 22 zameldowałem się u mnie znowu ten podoficer ze swoimi ludźmi. Polecili mi zebrać się w jednej z wolnych sal i tam wytłumaczyć im, jakie czeka ich zadanie i ja-

kanie rozkazu. Na polanie Rosjanie musieli zdjąć ubrania i odłożyć na bok pakunki. Zauważyłem pewien niepokój między nimi, ale niewielki. Potem podeszli do wykopanego dołu. Jedną ścianę dołu kazalem zrobić pochylą, aby Rosjanom było wygodnie schodzić. Nad tego czasu stwierdziłem, że mimo iż świecił księżyc było zbyt ciemno. Dół był otoczony wysokimi drzewami, które rzucały gęste cienie. Żoł-

potem oczyszciliśmy buty i mundury i pojechaliśmy do naszych kwatery. Byłem tak zdenerwowany, że nie mogłem zasnąć. Rano zatelefonowałem do oficera dyżurnego. Pytałem, ile zastrzeliliśmy. Powiedziałem: osiemdziesięciu. Oficer krzyknął zdenerwowany: Dlaczego tylko osiemdziesięciu, dlaczego nie stu? Odpowiedziałem, że otrzymałem tylko osiemdziesięciu. Na to rzekł: — To zraża wszyst-

ostatniej deski ratunku i jest zdolny do wszystkiego. Obawiałem się, że ten człowiek rzuci się na mnie. Strzeliłem. Nie do niego, lecz w jego kierunku. Jeszcze przebiegł kilka kroków i upadł. Chciałbym dodać, że w tym momencie było mi tego człowieka bardzo żal.

Najstraszniejsze było zamordowanie dziecka. Zamordowano ich dwoje. Ale jedno żyło jeszcze tam, w tym dole, już po oddaniu strzałów. „Wytłuskali” je jednak (takiego określenia użyto w zeznaniach) i ostatecznie „zlikwidowali” go zajął się dobrowolnie ordynans oficera dyżurnego, SS-owiec Boos.

Przewodniczący: Jak odbyła się ta „likwidacja”?

Zeuner: Uderzył głową dziecka o drzewo...

Przewodniczący: Jak właściwie się pan na to wszystko zapamiętał?

Zeuner: To przecież mógł pan już stwierdzić z moich zeznań. Nie było to dla mnie przyjemnością. Ale rozkaz był rozkazem. Mając 13 lat poszedłem do Hitlerjugend i tam mi dali mundur. Od tego czasu mundury już nie zdejmowałem. Najpierw był taki, potem inny. Przez 10 lat mego życia wykonywałem tylko rozkazy... Przecież rozkaz mówił, że rozstrzelani będą ludzie, którzy dopuszczali się grabieży, pładrowali. Dopiero wieczorem, gdy zobaczyłem tyle kobiet wśród skazanych, obudzili się we mnie pewne wątpliwości...

O tych swoich „wątpliwościach” Zeuner mówił także ze swoim przełożonym, Kammlerem. Na to Kammler odpowiedział: Z tym draństwem nie można się zanadto cackać.

„Delikatniejszy” okazał się sędzia polowy Wetzling. Razem z nim w egzekucji straciło życie wiele kobiet.

Wetzling przed sądem — „Bardzo poważnie się nad tym zastanawiałem. Pilnie też przestępstwa, aby przy następnej egzekucji rozstrzelano tylko samych mężczyzn. W ten sposób równowaga została utrzymana...”



Ernst Moritz Kloenne sam zgłosił się do pomocy przy egzekucji rosyjskich robotników. Dziś Kloenne przebywa na wolności.

gang Wetzling ma 48 lat. Serce i duszę oddany Himmlerowi, miał rangę pułkownika, był sędzią polowym. Od 10 lat jest syndykiem w firmie prywatnej, ma żonę i troje dzieci. Heinz Zeuner był w tej samej dywizji odwetu SS Untersturmführerem, teraz jest mierniczym górniczym, ma pięcioro dzieci. Był major SS, J. Miesel, chciał iść na księdza, studiował teologię, ale wykładał w SS. Obecnie jest asesorem rządowym, ma żonę i dziecko. SS-owiec Ernst Moritz Kloenne jest dziś właścicielem fabryki, ogólnie szanowanym obywatelem, chodzi co niedziela do kościoła, jest żonaty, ma dwie córki. I wreszcie ostatni to Bernard Anhalt, też Untersturmführer w dywizji SS „Z. V.”, Wilki w owczej skórce!

Rozprawa toczy się w sali ratuszowej miasta Arnsberg. Jest to 20-tysięczne miasteczko w Westfalii, liczące sobie już blisko 1000 lat. Proces rozpoczął się 2 grudnia i był kilkakrotnie przerywany. Sledzą go dziennikarze z całego świata i specjalna grupa psychiatrów. Wszyscy oskarżeni zasłaniają się tym, że spełnili tylko obowiązki, rozstrzelali ich przecież tylko bandytów, złodziei i grabieżców. Przewodniczący sądu i prokuratorzy starają się ustalić, na czym oskarżenia opierają zarzut bandytyzmu i złodziejstwa, którym obciążają zamordowanych. Wciąż powtarzają pytanie: — Czy widział pan tych Rosjan kradnących? Czy słyszał pan o jakimś ich ukrocieńcu przeciwko ustawom? — Odpowiedzi są zawsze negatywne. Nikt nie był świadkiem, nikt nie był słyszał. Tylko oskarżony Gaedt jakby od niechciaża odpowiada: „Gdy już wszystko się za waliło i przyszli Amerykanie, ktoś wykradł z naszej szpiaryki szynkę...”

Przewodniczący: — Ale skąd pan wie, że to zrobili Rosjanie? Widział ich pan?

Gaedt: Widziałem dwa dni przed kradzieżą. Przyszli do dziedziczyńskich, gdzie był ulokowany sztab dywizji SS.

kie są specjalne zalecenia. Skontrolowałem broń plutonu i wydałem kilka automatów, ponieważ niektórzy mieli tylko karabiny, a te nocą nie nadają się do takich zadań. Zarządziłem zachowanie ścisłej tajemnicy i powiedziałem: — To sprawa ściśle poufna, poufna i jeszcze raz poufna! — Powiedziałem też: — Jeśli ktoś będzie uciekał... nie strzełać. Mieliśmy się rozstać przed hotelem. Część ludzi miała się udać bezpośrednio na miejsce egzekucji, reszta do obozu odebrać skazanych.

Przewodniczący: — Jakich skazanych?

Gaedt: Rabusiów...

Przewodniczący: — Skąd pan wiedział, że to rabusie?

Gaedt: Mówił mi o tym sędzia polowy Wetzling.

Przewodniczący: Czy wręczono panu wyrok sądu dożurnego?

Gaedt: Nie...

Przewodniczący: Albo przynajmniej listę tych ludzi, którzy mieli pładrować i zostali skazani na śmierć?

Gaedt: Nie. Mieli nam być przekazani całą grupą.

Przewodniczący: Ili właściwie skazanych miał pan odebrać?

Gaedt: Około osiemdziesięciu do stu.

Przewodniczący: Przecież liczba ludzi złapanych na gorącym uczynku musiała być ściśle określona. Czy nie odniósł pan wrażenia, że tu coś nie jest w porządku?

Gaedt: Sądziłem, że koman dantura wie co robi.

I dalej płynnie opowiedział Gaedt o tym, jak to „odebrał” ludzi, jak zostali zaledowani na ciężarówce, a ci, którzy na nich już się nie zmieścili, musieli maszerować bożnymi ulicami.

Niedaleko miejsca egzekucji zarządziłem zbiórki. Ci z samochodu musieli zejść. Każdy żołnierz prowadził jednego więźnia. Odstęp między jednym a drugim żołnierzem musiał wynosić trzy metry. Maszerowaliśmy w kierunku polany. Zarządziłem dlatego taki odstępek, abym mógł objąć wzrokiem całość. Byłem przecież odpowiedzialny za wyko-

Mordercy

nieznie musieli wleć podejść bliżej do Rosjan. Potem wydałem rozkaz: — Ognia! Każdy Rosjanin dostał strzał w głowę, a ten musiał maszerować aż do dołu. Tam już leżały trupy. Ja trzymałem

ko jedno z tej bandy i tak jeszcze więcej się rozstrzelało... — Rosjanie szli gęsiego. Przy każdym szedł jeden SS-mann. Tak musieli maszerować aż do dołu. Tam już leżały trupy. Ja trzymałem



Owczesny sędzia SS Wolfgang Wetzling z uśmiechem udaje się na obiad w czasie przerw w procesie. Policjant eskortujący go oddaje mu honory wojskowe.

liżbę przekazanych mu skazanych. Było ich tej nocy dokładnie 80.

Gaedt: — Pracowaliśmy całą noc bardzo ciężko. Czuliśmy się bardzo źle. Rozdzieliliśmy między żołnierzy papiery i wodę. Większość żołnierzy nie przyjęła wody.

Zeuner: Gdy tak sobie stoję, nagle ktoś wybiega z szeregu. Pomyślałem, że w takiej sytuacji człowiek chwytają się

Ta równowaga była dla niego symbolem sprawiedliwości. Dzięki niej uważa siebie, jak to na rozprawie oświadczył, za człowieka humanitarnego. Humanitarny morderca!

Iu takich morderców żyje jeszcze wśród społeczeństwa niemieckiego? Ili ich czeka na okazję powtórzenia swych strasznych zbrodni? Ili ich spotka zastrawiona kara?

W. L.



Sześciu hitlerowcom,

zarzuca się masowy mord. Wszyscy zajmują dziś odpowiedzialne stanowiska.

OSTATNIO jedna z gazet warszawskich przyniosła wiadomość o działalności Państwowej Inspekcji Handlowej. Z informacji tej wynika, że w okresie od marca do grudnia 1957 r. inspektorzy PIH wykryli ponad 32 tys. różnego rodzaju większych czy mniejszych przestępstw. Tylko od listopada do połowy grudnia wykryto 58 nadużyć na sumę powyżej 100 tys. zł, 45 powyżej 50 tys. zł, 88 w granicach 20 tys. zł i 88 przestępstw powyżej 10 tys. zł. Przeprowadzone kontrole w sklepach spożywczych w wielu wypadkach wykazały, że jakoś takich artykułów jak wędliny, masło, mleko, śmietana pozostawia — delikatnie mówiąc — wiele do życzenia. Wędliny zawierają zbyt dużo tłuszczu i wody i a niestety — zbyt mało mięsa. Mleko i śmietana „doprawia” się nader chętnie wodą... W efekcie setki tysięcy złotych wyciągnięto z kieszeni przeciętnego obywatela.

Spekulacja, nadużycia, różnego rodzaju kanty — to temat nlenowy w naszej publicystyce. Temat ten — rzecz



go typy znaleźć można wszędzie: wśród robotników wielkich zakładów przemysłowych, wśród personelu urzędów państwowych. Co gorsza, wielu Polaków uznaje obecny stan rzeczy za naturalne zjawisko. Kradzież, spekulacja, korupcja przestały być potępiane przez opinię publiczną i stawiane przez nią poza prawem...

Oczywiście dziennikarz angielski omawia nasze bolączki z chłodnym sceptycyzmem. Ale niestety w tych „uwagach” jest pewna, a nawet dość znaczna doza prawdy.

Jesteśmy dalecy — mówiąc o spekulacji, łapownictwie, marnotrawstwie

KANTY — RAZ...

zrozumiała — będzie tak długo aktualny jak długo będziemy mieli do czynienia z faktami okradania społeczeństwa przez ludzi idących na lekkie zarobki.

Cyfrы przytoczone na początku dzisiejszej Warszawskiej Poczty mówią tylko o działalności Państwowej Inspekcji Handlowej, dotyczy tylko popełnionych — wykrytych — nadużyć w handlu. A przecież z objawami różnego rodzaju kanciarstwa mamy do czynienia nie tylko w handlu lecz bez mała w każdej dziedzinie życia gospodarczego. Kilka dni temu w „Expressie” warszawskim ukazała się niewielka notatka, ale bardzo wymowna w swej treści. Otóż wynika z niej, że do warszawskiej prokuratury wpłynęło w 1957 r. — bagatelka — bo tylko 26.849 spraw. Znacznie wzrosła w porównaniu z r. 1956 — jak informuje autor notatki — wysokość strat poniesionych przez skarbnic państwa wskutek kradzieży mienia społecznego. W maju 1957 r. notowano 9,5 miliona zł. w sierpniu — 17 milionów, w październiku i listopadzie po 10 milionów zł. Tylko od maja do września ub. r. wykryte afery gospodarcze naraziły skarbnic państwa na straty w wysokości 32,5 miliona zł, 300.000 dolarów i 2.000 funtów szterlingów. Nadużycia i kradzieże w budownictwie obejmują 908 pozycji ze stratą 20 milionów zł.

Oddajmy znowu głos cyfrom. Tym razem zacierpniemy je z wydawnictwa „Rocznika Statystycznego” na rok 1957.

Otóż w roku 1956 zanotowano ponad 100 tys. wypadków kradzieży mienia społecznego (wzrost w stosunku do roku 1955 o około 6 tys. wypadków), kradzieży mienia prywatnego 126 tys., ponad 1000 faktów defraudacji i marnotrawstwa, ponad 18 tys. wypadków spekulacji, z tym, że niektóre rodzaje przestępstw np. kradzieże mienia społecznego z roku na rok stale wzrastały. Statystyka ta wzrosła również dzięki sprawnościemu działaniu milicji, dzięki zwiększeniu ilości wykrytych przestępstw. Z drugiej jednak strony trzeba przyznać jako poprawę do przytoczonych powyżej cyfr i ten fakt, że działalność naszej milicji pomimo — powtórzmy — znacznej poprawy daleka jest jeszcze od doskonałości i nie wszystkie przestępstwa są wykrywane.

Jeszcze jedna ciekawostka: które województwa „przodują” w przestępczości?

Na pierwszym miejscu znajduje się, wiadomo, stolica — Warszawa (pod względem ilości przestępstw popełnionych na 10.000 mieszkańców), następnie województwo gdańskie, szczecińskie, i o dziwo: zielonogórskie. Katowice zajmują dopiero 8 miejsce (gwa-H ścisłości: w cyfrach bezwzględnych największą ilość przestępstw, bo ponad 50 tys. — popełniono jednakże nie gdzie indziej lecz właśnie w województwie katowickim).

W związku z tymi cyframi — chcieliśmy jeszcze przytoczyć pewną uszczuplającą uwagę. Otóż nie tak dawno jeden z burzliwych dziennikarzy pisał w znanym angielskim piśmie „New Statesman and Nation”:

„Trudności Polski pochodzą głównie ze spadku poczucia odpowiedzialności społecznej. Wielu Polaków — tysią-

ce, dziesiątki tysięcy a być może nawet i setki tysięcy — straciło poczucie społecznej dyscypliny i kieruje się prawem dżungli, każdy dba tylko o siebie samego. Ludzi te go typy znaleźć można wszędzie: wśród robotników wielkich zakładów przemysłowych, wśród personelu urzędów państwowych. Co gorsza, wielu Polaków uznaje obecny stan rzeczy za naturalne zjawisko. Kradzież, spekulacja, korupcja przestały być potępiane przez opinię publiczną i stawiane przez nią poza prawem...”

Oczywiście dziennikarz angielski omawia nasze bolączki z chłodnym sceptycyzmem. Ale niestety w tych „uwagach” jest pewna, a nawet dość znaczna doza prawdy. Jesteśmy dalecy — mówiąc o spekulacji, łapownictwie, marnotrawstwie

Codziennie każdy z nas jest świadkiem różnego rodzaju drobnych nadużyć: kantzów, złodzieństw w sklepie, restauracji, tramwaju... Na ogół przechodzimy obok tych faktów mniej czy bardziej obojętnie, rzadko się zdarza abyśmy zareagowali na nie w sposób zdecydowany. Nie przeszkadza nam to jednak pomstować przy każdej okazji... na kanciarstwo. Jedno natomiast jest pewne, że objawy różnego rodzaju większych czy mniejszych nadużyć trudno będzie wykorzystać tylko i wyłącznie na drodze administracyjnej poprzez surowe kary, więzienie itd. Jest to niewątpliwie jeden ze skutecznych warunków walki wycchowawczej, ale brnajmniej nie jedyny. Niemniej ważnym środkiem jest rzeczowy i wistowy udział całego społeczeństwa w tej walce. Chodzi jednym słowem o to, aby raz na zawsze skończył z tym, co słusznie zauważył angielski dziennikarz „Wielu Polaków uznaje obecny stan rzeczy za naturalne zjawisko...”

Choć nie raz udaje się nam zaktywizować społeczeństwo. Inicjatywa warszawska „Expressu Wieczornego” pod hasłem „My się na to nie zgadzamy” była nallepszym tego dowodem. Inicjatywa ta pasjonowała się do niedawna bez mała całą Warszawą, a dla różnego małego formatu spekulantów, oszustów i kanciarzy nastąpił wtedy prawdziwe „czarne dni”. Ale cóż, słomiany ogień nie trwa długo.

Na zakończenie chciałobyśmy przypomnieć słowa Gomulki wypowiedziane na X Plenum KC: „Dla skutecznej walki z korupcją i spekulacją niezbędne są dwa warunki: po pierwsze — zastrzeżenie środków administracyjnych po drugie — zlikwidowanie „zniczułacy...”

KRONIKARZE

KIEDY BĘDZIEMY PANAMI POGODY?

OPANOWANIE jednego z najpotężniejszych żywiołów jakim jest pogoda będzie stanowić przewrót bodajże większy niż odkrycie energii termojądrowej. Dotychczas ludzkość zdana była na łaskę tego żywiołu. Pochłonięta na całe cywilizacje, których relikty odnajdują tu i ówdzie archeolodzy. Obecnie kiedy wkraczamy sputnikami w kosmos nadal jeszcze zależni jesteśmy od niekontrolowanych zmian pogody. Nawet buńczuczne używanie powiedzenia: że lotnicy są panami przestworzy jest nieścisłe, bowiem warunki atmosferyczne są zapożyczeniem, którą z trudem pokonują najnowocześniejsze urządzenia.

WALKA

O PANOWANIE KLIMATU

W ostatnich latach a szczególnie miesiącach uczeni całego świata rozpoczęli wielką batalię o opanowanie pogody i klimatu ziemskiego. Zdobyć władzę nad żywiołem pogody — będzie miało olbrzymie znaczenie gospodarcze na całym świecie. Można będzie zamienić pustynie w urodzajne pola, uchronić ludzi kontynentów przed klęskami suszy, powodzi i huraganów, które pociągają za sobą tysiące ofiar rocznie. Będzie można — trudno sobie w tej chwili wyobrazić — przyspieszyć rozwój ekonomiczny i techniczny ludzi zamieszkujących na naszej planecie. Może naprawdę już wkrótce rolnicy będą mogli zwrócić się z żądaniem do naukowców: „Zamawiamy deszcz na obszarze województwa lubelskiego. Od kilkunastu dni trwa susza. Prosimy o natychmiastowe przysłanie sa molotów i służby klimatycznej”...

Jak i gdzie rodzi się pogoda, jak człowiek może skutecznie wpływać na ten żywioł — oto pytania na które pragną odpowiedzieć meteorolodzy różnych krajów prowadząc niezliczone ilości badań na całym świecie. (W ramach prac Międzynarodowego Roku Geofizycznego działają dwie polskie wyprawy: Polarna na Spitzbergen i druga w Wietnamie).

Jak wiadomo klimat w dzień tworzy się w stosunkowo niskiej warstwie atmosfery (ok. 12 km) przy równoczesnym działaniu sił kosmosu jak i ziemi. Życiodajne promienie słoneczne działają różnorodnie: część ogrzewa kulę ziemską, część odbiciu unosi się w górę i ogrzewa powietrze, inne znów powodują parowanie wody w oceanach, morzach i jeziorach. Nasilenie ciepłoty powietrza wraz z obrotami kuli ziemskiej nadaje kierunki wodom oceanów oraz wytwarza

nież i wyże baryczne na podstawie których określamy jaka jest pogoda dziś, i jak może się zmienić ona jutro.

Od kilku lat Związek Radziecki i Stany Zjednoczone prowadzą szerokie badania nad wykorzystaniem wolnej energii słonecznej w przemyśle i rolnictwie. Naukowcy już dziś są pewni, że uda się wykorzystać ją, aby zamienić złodowiciele partie górskie w obszary uprawy.

We współczesnym świecie dla którego woda staje się jednym z najbardziej cennych surowców kontrolowanie wilgotności staje się żywym problemem współczesnej nauki. Jedno z amerykańskich laboratoriów geologicznych zastosowało nieszkodliwą dla organizmu ludzkiego i nie pozostawiającą smaku substancję chemiczną (hexadecanol, jeden ze składników kredki do ust), która może, zlepiając cząsteczki wody zmniejszyć proces parowania. Jeśli udało by się zastosować tę substancję na skalę przemysłową można by w ten sposób pozabawić deszczu olbrzymie obszary ziemskie i zamienić je w pustynie. Inne znów środki chemiczne mogą być zastosowane z przeciwnym skutkiem: przyspieszenie parowania wody, a tym samym zwiększenie opadów.

BOMBY II PRZECIW HURAGANOM

Naukowcy różnych krajów prowadzą spekulacje nad możliwością wykorzystania bomb wodnorodnych do rozbijania huraganów i tajfunów. Dotychczas jednak nie zastosowano w praktyce energii atomowej. Latem ub. roku naukowcy amerykańscy próbowali odwrócić bieg huraganów — olbrzymich trąb powietrznych, rozlewając płonącą ropę naftową na morzu w punktach tworzenia się huraganu.

Rozważa się również możliwość zastosowania bomb termojądrowych do zmian kierunków wiatrów. Przypuszcza się, że atakując energię termojądrową obszary lodowcowe Arktydy i Arktyki można by zmienić świat w układ zimnych frontów a więc w konsekwencji przekształcić klimat na dziesiątkach milionów km kw. naszej planety. I tak np. Europa mogłaby mieć klimat podzwrotnikowy, a być może i zwrotnikowy, a w innych częściach kuli ziemskiej zapanałaby klimat północny.

Meteorologowie od dawna wiedzą, że zmiany w kształcie i rozmiarze obszarów lodowców na biegach mają głębokie skutki na kształtowanie się klimatu ziemskiego. Obliczono, że doprowadzając do ostateczności te przemiany, a więc stapiając lody bieguna

północnego wody oceanu podniosłyby się o 15 — 30 metrów zalewając Nowy Jork, Londyn, Le Havre i inne porty położone poniżej poziomu morza na północnej półkuli. Dwie metody uwzględnia się w powyższym projekcie: pierwsza — działanie energii nuklearnej, która by stopiła część pokrywy lodowej na Antarktydzie i druga — możliwość zmiany kierunku ciepłych prądów oceanicznych przy pomocy zapór i kanałów, aby zmniejszyć powłokę lodową Arktyki. W tym miejscu trzeba przypomnieć o radzieckim planie zbudowania zapory przez cieśninę Berin-ga, która połączyłaby pomostem Związek Radziecki i Stany Zjednoczone zmieniając mroźny klimat obszarów syberyjskich.

MIŁOWY KROK W ROZWOJU EKONOMICZNYM ŚWIATA

Na podstawie tych kilku informacji możemy sobie zadać sprawę jak olbrzymie znaczenie może mieć opanowanie klimatów i pogody dla rozwoju ekonomicznego świata. Nie od rzeczy będzie również dodać jakie olbrzymie znaczenie miałyby opanowanie pogody dla pokojowej rywalizacji między światem socjalistycznym i kapitalistycznym.

Ostatnio w Stanach Zjednoczonych wybuchła nowa gorączka, gorączka klimatyczna. Po sputnikowych sensacjach Amerykanie uprzytomniłi sobie, że uczeni radzieccy prowadzą od 1937 roku systematyczne badania na obszarach polarnych, że posiadają olbrzymie doświadczenia w klimatologii oraz w dziedzinie fizyki chmur. Dr Wexler kierownik amerykańskiego biura ugodu oświadczył, że liczba przeprowadzonych badań radzieckich na Arktyce zapiera mu dech w piersi, równocześnie różni eksperci amerykańscy rozważają możliwość militarnie przy użyciu zmian klimatycznych i dochodzą do wniosku że byłoby to broń groźniejsza niż znana dziś powszechnie energia termojądrowa. W USA ukuto już nawet określenie: broń klimatyczna. Można by z tego wnioskować i pewne podenerwowanie jakie panuje na półkuli zachodniej i fakt, że opanowanie i kontrolowanie pogody może mieć olbrzymie skutki ekonomiczne dla całej ludzkości.

Wystąpienie sputników i otwarcie drogi w kosmos stawiało praktycznie na porządku prac uczonych rozwiązanie trudnego problemu, opanowania przez człowieka pogody i klimatu. I chyba wówczas zdanie, że człowiek jest panem przyrody będzie najbardziej rzeczywiste. Oprac. A. J.



Stopień częstotliwości obszarów lodowcowych przy pomocy energii atomowej może zmienić całkowicie kierunki wiatrów na ziemi.

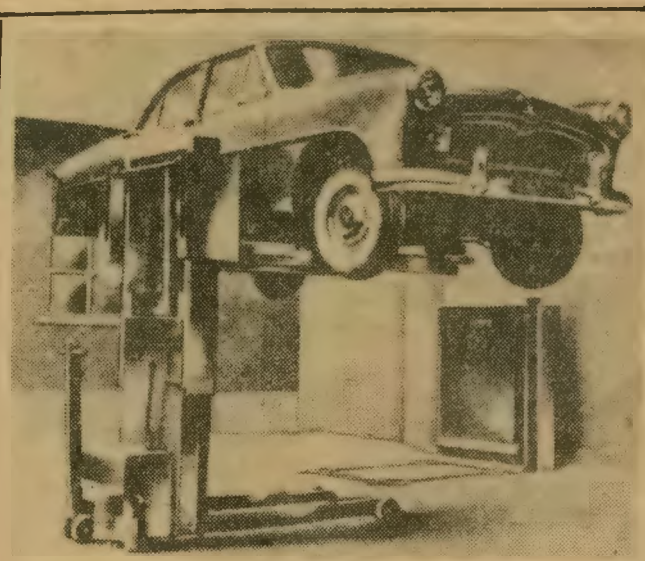
Wytworzenie dużej temperatury na powierzchni morza w punkcie powstawania huraganu może w zarodku unieszkodliwić go.

Nieszkodliwe chemiczne rozpuszczalniki mogą zmniejszyć parowanie wody, redukcja jednocześnie opadów deszczu na dużych obszarach.

Powłoka z pyłu węglowego lub innej ciemnej substancji absorbuje słoneczne promienie i usunąć chłodzi na obszarach tundry.

Rozpryskiwanie w chmurach przez samoloty specjalnej chemikalia mogą spowodować wzrost opadów deszczowych.

Foto: NewswEEK



Najdrobniejszy choćby remont samochodu, którego przecież jest coraz więcej w naszym kraju wymaga bardzo często obciążenia pojazdu od spodu. Ogólnie się przyjęło, że mechanik musi być zawsze „od stóp do głów” wybrudzony, że w naszych garażach pracuje w warunkach bardzo niewygodnych. Doskonale poradzi sobie z tą sprawą Francuzi, którzy rozpoczę-

li produkcję niewielkich podnośników hydraulicznych. Podnośniki te są ruchome i można je ustawić w dowolnym miejscu. Koszt ich równa się we Francji 1/3 ceny małego litrażowego samochodu. Wydaje się że nasze fabryki budujące podnośniki powinny zainteresować się załączonym zdjęciem na które prawdopodobnie z zaskoczenia patrzeć będą mechanicy remontujący nasze samochody.

26 punktów rakietowych czuwa na Wybrzeżu

Już prawie dwa lata upłynęły od pamiętnego huraganu, jaki rozszalał się nad Wybrzeżem 17 stycznia 1955 r. Pochłonięta wówczas niejedno życie ludzkie i zaskarżona opinia publiczna oraz władze państwowe o słabości technicznej naszego ratownictwa morskiego, o panującym w tej dziedzinie bałaganie.

Jak przedstawia się sytuacja obecnie? Czy jesteśmy dzisiaj w stanie pospieszyć na pomoc wszędzie tam, gdzie ządzie tego potrzeba, pospieszyć na ratunek życia i mienia ludzkiego?

Sytuacja w tej dziedzinie uległa w ciągu minionego czasu radykalnej poprawie. Dysponujemy dziś specjalną (w tym czterema nowymi produkcjami polskiej superkuterami w Swinoujściu, Kołobrzegu, Dąrkowie, Uście, Helu i Gdyni). Są one gotowe w każdej chwili wyjść do morza na pomoc załogom kutrów rybackich i statków handlowych. Mniejsze jednostki mogą być wzięte na hol. W małych portach, jak np. Trzebień, Leba, Władysławowo, Zalewice, Władysławów znajdują się specjalne ratownicze łodzie motorowe (4 nowe jednostki sprowadzone niedawno z NRD).

Jeśli PRODI o większe jednostki, to PRODI dysponuje na razie tylko dwoma, i to starymi holownikami: „Herkulesem” i „Swarowiczem”, które niewiele różnią się od normalnych holowników portowych. Poprawa nastąpi w tym roku, kiedy otrzymamy z Anglii dwie nowoczesne, potężne jednostki ratownicze (po 3,500 KM), jedną w czerwcu, drugą — w listopadzie. Z NRD otrzymamy w tym miesiącu drugi mały holownik ratowniczy (pierwszy zakupiliśmy w ub. roku) służący do ścigania niedużych statków z mielizny.

Niezależnie od taboru pływającego dużej części Wybrzeża rozszalał się 26 statków ratowniczych, tzw. punktów rakietowych. Otóż, jeśli zdarzy się, iż niedaleko brzegu (do 300 m) osiadł na

mieliznie jakiś kuter czy statek i zachodzi konieczność ściągnięcia załogi na ląd wówczas specjalna rakietnica wyrzuca line, którą zagrożona załoga przycumowuje do masztu. Następnie uruchamia się „kolejke powietrzną” i w specjalnym koszu — wosniku, unoszącym się nad kłębami falami, ludzie dostają się na brzeg.

Oprócz tego istnieje 5 tzw. ruchomych stacji ratunkowych na samochodach, przystosowanych do jazdy po piaszczystych plażach. Mają one radiotelefony dzięki czemu znajdują się w stałym kontakcie z Ratownictwem Ogólnym. Ośrodek ten utrzymuje stałą łączność z radiostacją na Wybrzeżu, które natychmiast przekazują mu otrzymane z morza sygnały SOS. Z radiostacji ośrodka wychodzą natychmiast dyspozycje dla kutrów i holowników PRO oraz owych lądowych, ruchomych stacji ratowniczych. ROK znajduje się w stałym kontakcie z oficerem operacyjnym Marynarki Wojennej, która w razie potrzeby służy ratownikom zwiadem lotniczym oraz okrętami.

Tak pomyślana organizacja naszego ratownictwa morskiego gwarantuje duże uznanie za granicą. Na tym polu zresztą nasza współpraca z państwami nadbałtyckimi jest bardzo efektywna. Mam w tej dziedzinie umowy państwowe z ZSRR i NRD. Obie strony są zobowiązane do wzajemnego udzielania sobie pomocy w sprawie, określenia i przekazywania pozycji statków wojujących, pomoc organizowania zwiadu lotniczego dla poszukiwania tonących, wycozywania sprzętu ratowniczego, wymiany doświadczeń. Na mocy „gentleman agreement” ściśle współpracują też nasi ratownicy ze Szwecją. Ścisłejsze kontakty pragną z nami nawiązać ratownicy NRE. Polacy biorą udział w międzynarodowych konferencjach ratowników i częściej się tam pełnym uznaniem. Najbliższa taka konferencja odbędzie się niedawno w tym r. w NRF.

ZAPORA ROSELEND



Gigantyczna zapora w budowie.

STYCZEŃ 1961 r., godzina 8 rano. Ręka technika przesuwając przelącznik na pulpici rozdzielczym połączym hydroelektrowni Roselend — La Bathie położonej na przeciw Mont Blanc i jego wiecznych śniegów.

Zapora wodna Roselend w Sabaudii we Francji, której budowa rozpoczęła się w roku ubiegłym będzie jedną z najpiękniejszych pod względem architektury budowli świata. Pomysł zbudowania olbrzymiego zbiornika wody do którego spływać będą poprzez wielokilometrowe tunele wody wiecznych śniegów, lodowców i deszczów uważany jest przez specjalistów w dziedzinie hydrotechniki za jeden z najsmielszych pomysłów na świecie w tej dziedzinie. Olbrzymi zbiornik wody o pojemności 187 milionów metrów sześciennych, położony wysoko w górach zapewni uzyskanie 500 milionów watów energii elektrycznej. Zbiornik znajduje się na wysokości 1400 metrów, będzie on zaopatrywał elektrownię w La

Bathie znajdującą się 1133 metry niżej w masie wody spadającej z ogromną siłą. Woda uruchomi olbrzymie turbiny, które znów poruszają generatory prądu. 26 tys. km² — to płaszczyna gigantycznych ba-



senów zasilających główny zbiornik wody. Tym basenami są lodowce i wieczne śniegi Alp. Prace przy budowie elektrowni będą trwały około 5 lat. W okresie ten wchodzi rzecz jasna budowa nie tylko olbrzymiego zbiornika, ale i t. zw. studni zbierających wody oraz 65 km kanalizacyjnych tuneli przez które woda dostawać się będzie do potężnej hydroelektrowni położonej niedaleko Izery.

Me Currwoy wpadł na pomysł, aby użyć lotniczy kom binezon antycypacyjny. W kombinizon taki zachowuje na wielkich wysokościach ciśnienie panujące na ziemi. Można w nim również dowolnie zmieniać ciśnienie bez

względem na ciśnienie otaczającego go środowiska. Eksperyment udal się, nurek został uratowany, a jednocześnie przekonano się, że lekki kombinizon stratosferyczny potrafi zastąpić ciężkie komory dekompresyjne.

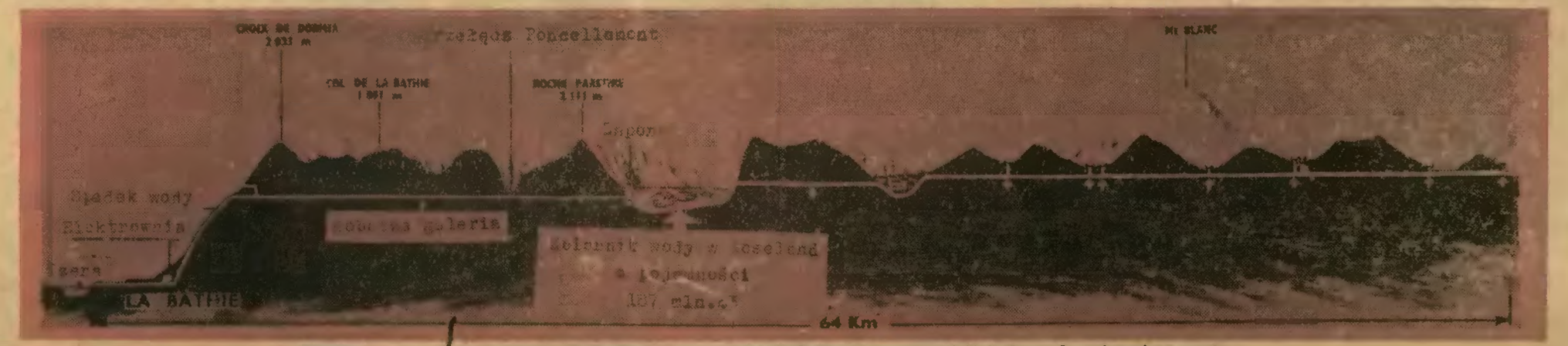


Projekt zapory w Roselend

senów zasilających główny zbiornik wody. Tym basenami są lodowce i wieczne śniegi Alp.

Prace przy budowie elektrowni będą trwały około 5 lat. W okresie ten wchodzi rzecz jasna budowa

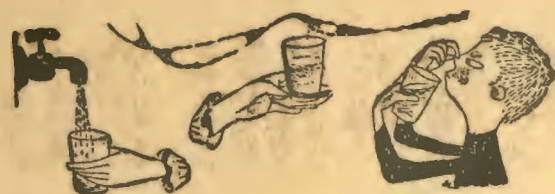
wa nie tylko olbrzymiego zbiornika, ale i t. zw. studni zbierających wody oraz 65 km kanalizacyjnych tuneli przez które woda dostawać się będzie do potężnej hydroelektrowni położonej niedaleko Izery.



Przekrój przez masyw górski. Białe strzałki oznaczają studnie, które gromadzić będą wodę spływającą z gór.

DAMY RADE

(Dokończenie ze str. 2)



Gdyby pogrzebał w rocznicach przedwojennych pism, mógł na by znaleźć alarmujące tytuły. „Ozy Śląsk zamieni się w Saharę?“, „Za 10 lat zabraknie nam wody!“, itp. I tak. Jakoś minieło już więcej niż 10 lat, a wody ma. Gdzieś niedaleko jeziora, na rzekach, w jeziorach, w jeziorach, ale woda jest. W ubiegłym roku sprzedano ludność i przemysłowi 221,7 mln m sześć wody. Przynajmniej: sprzedano, jeżeli chodzi o ludność, po śmieci niskiej cenie i znowu — niebył. Do roku 1960 kosztował około 202 mln zł sieć wodociągowa Śląska. Powiększy się o ponad 200 km.



Budujemy wiele szkół. A jednak potrzeby przekraczają możliwości. W szkołach podstawowych uczyło się w roku ubiegłym 364 tys. uczniów. Za dwa lata liczba

ta wzrośnie do 450 tys. W ostatnim okresie oddano do użytku 50 nowych szkół w budowanych kosztami 170 mln zł. Do końca 1960 r. za 400 mln zł w budowie mamy 165 nowych budynków szkolnych posiadających ponad 1000 izb lekcyjnych. Czy to wystarczy? Trzeba stwierdzić, że o ile w roku ubiegłym jedna izba lekcyjna wypadła w naszym województwie 13 uczniów, to w tym roku wypadnie już 14. Co robić? Niech się rady narodowe zastanowią. Nie jest tajemnicą, że wiele starych, dawnych budynków szkolnych zajmują jeszcze różne instytucje.



Posiadamy 17,100 łóżek szpitalnych, a liczba ta wzrosła w najbliższych latach do 19,000, czyli dojdzie do prawie 60 łóżek na 10 tys. mieszkańców. Co jest w skali krajowej liczbą raczej dobrą. Prace w naszym województwie 2760 lekarzy liczących wzrosła do 3,300. Nakłady finansowe wzrosła do 11:30 mln zł., czyli wyniosła w roku 1960



Jedną z największych bolączek jest nadal komunikacja. Wprawdzie w porównaniu z okresem przedwojennym ogromnie zwiększył się tabor komunikacyjny, ale ludzie wjeżdżają i na to nie ma rady. Trzeba też ludzkie potrzeby zaspokoić.

Posiadamy 302 km. torów tramwajowych, a liczba ta zwiększyła się do 336 km. Kursują na nich 592 woz. będzie kursowało do 1960 r. — 662. Ilość autobusów zwiększyła się w tym okresie z 592 do 662. 150 nowych autobusów zastąpi niezdolne już do ruchu gruchoty.

Wielkie ułatwienie stanowi dla podróżnych koleją trakcyjną elektryczną, która na razie prowadzi tylko do Gliwic i Zawiercia. W najbliższych latach została nie zelektryfikowana trasa do Krakowa i przez Tychy do Bielska. Czy jednak pogięgi elektryczne muszą stać się spódną? Czy nie można lepiej układać rozkładów jazdy tramwajowych i autobusowych? Czy nie należy linii komunikacyjnych nie mogły być bardziej fachowy i uprzejmy?

Wprowadzić w ciągu ostatnich 3 lat zainstalowano w naszych miastach kosztami ok. 15 mln zł. przeszło 11,000 punktów świetlnych, ale ciagle jeszcze jest to o wiele za mało.

Może zgłoszono da się ten problem rozwiązać za przykładem Katowic? Niech handel uspołeczniony i inne instytucje zainstalują słoe neonów. Wiele można także zrobić systemem gospodarczym. W każdym razie w naszych miastach powinno być jaśniejsze. Dobrze oświetlone ulice, to jeden z warunków powodzenia walki z chuliganstwem.

Podobnych przykładów można by mnożyć w setki. Wspomnieliśmy tylko — największy w Polsce Stadion Śląski, stół, rozbudowę Wot. Parku Kultury, stadion i park w Sosnowcu, dziesiątki różnych inwestycji w Gliwicach, Rybniku, Ciesznym, Zabrze, Dąbrowie Górniczej.

To jak szybko będą znikać niedostatki, jak szybko damy radę zlikwidować nasze trudności, zależy od nowych rad narodowych, które wezmą w swoje ręce naszą gospodarkę.

Zestawił: LESZCZ Rys. M. KRYSZCZUKAJTIS

Pan Kingsley ma konferencję. Pośle wizytówkę, gdy tylko będzie to możliwe. Podziękowałem jej, odszedłem i usiadłem na krześle z chromowej stali i skóry, które było o wiele wygodniejsze niż na to wyglądało. Czas mijal i zapadła cisza. Nikt nie wchodził ani nie wychodził. Elegancka ręka panny Fromsett poruszała się po papierach, a od czasu do czasu dolatywał przytłumiony głos kociaka przy centralce i lekki trzask włączanych i wyłączanych wtyczek.

Zapaliłem papierosa i przysunąłem biurową popielniczkę do kresla. Minuty przechodziły bezzwłocznie. Obejrzałem sobie sałę. Z takiego umebłowania nie można wynioskować. Może zarabiają miliony, a może w tej właśnie chwili szeryf pieczętuje im kasę.

W pół godziny i trzy albo cztery papierosy później za biurkiem panny Fromsett otworzyły się drzwi i uka zało się dwóch mężczyzn. Trzeci mężczyzna przytrzymał sobie dlonie i śmiał się z nimi. Serdecznie potrząsnął sobie dłonie i dwaj mężczyźni przemierzowali przez biuro i wyszli. Trzeci pozbył się uśmiechu z twarzy i wyglądał tak, jakby nigdy w życiu się nie śmiał. Był wysoki, w szarym garniturze i najwyraźniej nie pozwalał nikomu na żadne głupstwa.

— Jakże sprawy? — spytał ostrym dyrektorskim tonem Panna Fromsett powłóczyła miękko: — Nieja! — pan Marlowe chce się z panem zobaczyć. Z polecenia porucznika M'Gee. W sprawie osobistej.

Nigdy o nim nie słyszałem — warknął wysoki mężczyzna. Wziął swoją kartę, nawet nie rzucił na mnie okiem i wrócił do swego gabinetu. Drzwi zamknęły się pneumatycznie wydając przy tym dźwięk podobny do „fuj“. Panna Fromsett obdarzyła mnie słodkim, smutnym uśmiechem, a ja odważnie się nie nieprzyzwyczajając puszczając do niej oko. Szałem kolejnego papierosa i znowu upłynął pewien czas.

Dziesięć minut później drzwi otworzyły się znowu. Pan i władca wyszedł w kapeluszu na głowie i warknął, że idzie do fryzjera Ruszy przez dywany pełnym rozmachu krokiem sportowca, ale w pół drogi do drzwi zrobił ostry zwrot w tył i podszedł do miejsca, gdzie siedziałem.

— Chce pan ze mną mówić? — szepnął. Miał około sześciu stóp i dwóch cali wzrostu i był raczej kościsty. Oczy posiadał szare jak granit, z błyskami chłodnego światła. Nosił garnitur z doskonałej szarej flaneli w wąskie, białe paski i nosił go elegancko. Jego maniery wskazywały, że potrafi być bardzo twardy w postępowaniu z innymi.

Wyciągnąłem portfel i podałem mu dokumenty. Spojrzał na nie i pchnął je z powrotem po blacie biurka Celuloidowa ramka z fotokopią mojej licencji spadła na podłogę. Nie trudził się nawet, żeby przeprosić.

— Nie znam M'Gee — rzekł. — Znam szeryfa Petersena. Pytałem o nazwisko odpowiedniego człowieka. Przypuszczam, że to pan ma nim być.

— M'Gee służy w hollywoodskim oddziale urzędu szeryfa — powiedziałem. — Może pan to sprawdzić.

— Nie trzeba. Myślę, że się pan nada, tylko niech pan ze mną nie błaźnie. I niech pan sobie zapamięta, że jak ja wynajmuję człowieka, to jest mój człowiek. Robi dokładnie to co mu powiem, i trzyma głowę na kłódce. Albo szybko wylatuje! Jasne? Sądję, że nie ujmuję sprawy zbyt brutalnie.

— Może lepiej nie będziemy na ten temat dyskutowali? — spytałem.

Zmarszczył się. Powiedział ostro: — Jakiej pan chce zapłaty?

— Dwadzieścia pięć dolarów dziennie i koszty. Osiem centów za każdą milę przejechaną w moim wozie.

— Absurd — powiedział — o wiele za dużo. Równie płaćcieś dziennie. To aż nadto. Za benzynę pokryję w granicach zdrowego rozsądku. Ale żadnych wycieczek dla przyjemności!

Wydychałem małą szarą chmurkę dymu papierosowego i rozpedziłem ją ręką. Nie powiedziałem nic. Zdaje się, że był zdziwiony, iż nie powiedziałem nic.

Pochylił się nad biurkiem i pokazał na mnie cygarem. Jeszcze pana nie wynajmąłem — powiedział. — Ale jeśli wynajmę, praca jest absolutnie poufna. Żadnych rozmów na ten temat z pańskimi kumpłami z policji. Zrozumiano?

— A jaka to ma być praca panie Kingsley?

— Co to pana obchodzi? Pan wykonuje wszelkiego rodzaju zadania wydawcowe, tak czy nie?

— Nie wszelkiego rodzaju. Tylko uczciwe sprawy. Wpatrzył się we mnie przymrużonymi oczami, zaciskając usta. Jego szare oczy były teraz zupełnie ciemne.

— Między innymi nie prowadzę spraw rozwodowych — powiedziałem. — A jako ekspert otrzymywałbym sto dolarów.

— Dobrze, dobrze — powiedział niespodziewanie miłym głosem.

— A jeśli chodzi o tę brutalność — powiedziałem — większość klientów zaczyna w ten sposób, że albo wlewa mi tony na koszulę, albo wrzeszczy na mnie, żeby

i podesunął mi jeden z kieliszków. Spojrzał na swój pod światło i dodał wolno:

— Lavery powiedział, że z nią nie wyjeżdżał, że nie widział jej od dwóch miesięcy i w ogóle nie utrzymuje z nią jakiegokolwiek łączności.

— Pan mu wierzył?

Kiwnął głową, zmarszczył się, wypił swój kieliszek i odstawił go na bok. Skosztowałem z mojego. Była to szkocka whisky. Nienadzwyczajna szkocka whisky.



— Jeśli mu uwierzyłem — powiedział Kingsley — a prawdopodobnie nieśluszenie — to nie dlatego, że to jest człowiek, któremu trzeba wierzyć. Wprost przeciwnie. Właśnie dlatego, że on jest drabem uważającym za punkt honoru uwodzenie żon przyjaciół i chwalenie się tym. Na pewno pyszniłby się jak kogut, gdyby mu się udało by moja żona z nim uciekła i zostawiła mnie na lodzie. Znam tych samców, a jego w szczególności, aż za dobrze. Zalałbym różne interesy dla naszej firmy i przez cały czas miał kłopoty. Nie mógł się powstrzymać od urzędniczek. A poza tym wszystkim był ten telegram z El Paso, powiedziałem mu o nim, więc dlaczego miałby kłamać?

— Ona mogła go przekonać — powiedziałem. — To trafiłoby go w czule miejsce — w jego kompleks Casanovy.

(Dalszy ciąg w poniedziałek)

można je było zdmuchnąć jednym tchnieniem, i perfumy w małych pastelowych fiolkach przewiązanych atlasowymi wstążeczkami jak małe dziewczynki na lekiej tańca. Perla tej wystawy w przysadkowatej bursztynowej butelce wyglądała bardzo skromnie i prosto. Ustawiono ją pośrodku gabloty na poziomie oczu, zostawiając wokół sporo wolnego miejsca. Etykieta na butelce głosiła: Gillerlain Regal — szampańskie perfumy. Coś takiego rzeczywiście warto kupić. Jedna kropelka w zapiechaniu szły wystarczy, żeby na kobiecie posypały się perły niby letni deszcz.

Przyjemna mała blondynka siedziała skromnie w spokojnym kątku za biurkiem przy małej centralce telefonicznej. Przy niskim olurku naprzeciw drzwi urzędowała wysoka, szczupła czarnowłosa dziewczyna, której nazwisko według umieszczonej w ramkach wizytówki brzmiało: panna Adrienne Fromsett.

Miała na sobie stalowoszarą kostium, granatową bluzkę i męski krawat w nieco jaśniejszym odcieniu. Krawędzie złozonej chusteczki w kieszonec na pierśsiach wydawały się tak ostre, że można by chyba króć nim chleb. Poza lańcuszkową bransoletką nie nosiła żadnej biżuterii. Jej ciemne włosy ułożone z przedziałkiem opadały w luźnych, ale wyraźnie wystudowanych falach. Miała ałaskę cerę o odcieniu kości słoniowej, raczej surowy zarys twarzy i wielkie ciemne oczy, które wyglądały tak, jakby potrafiły spoglądać ciepło, we właściwym czasie i we właściwym miejscu.

Położyłem swoją wizytówkę, że bez pistoletu maszynowego, w ręgu na jej biurku i spytałem o pana Derace Kingsleya.

Spojrzała na wizytówkę i spytała: — Czy pan był umówiony?

— Nie byłem umówiony.

— Na ogół pan Kingsley nie przyjmuje nikogo, kto nie był umówiony.

Na ten temat nie mogłem się sprzeciżyć.

— A pan w jakiej sprawie, panie Marlowe?

— W osobistej.

— No tak. Czy pan Kingsley zna pana?

— Nie sądzę. Możliwe, że słyszał moje nazwisko. Może pan powiedzieć, że przychodzę z polecenia porucznika M'Gee.

— A czy pan Kingsley zna porucznika M'Gee?

— Mam nadzieję, że zna — powiedziałem — ale zapewne najłatwiej byłoby to ustalić po prostu pytając go.

Gwałtownie postawiła leńcały na trzech listach, żeby nie rzucił we mnie przyciskiem. Odeszła się znowu, nie podnosząc głowy.

osiemset dolarów dyrektorskie biurko i umieścił swą tylną część w wielkim skórzanym fotelu. Sięgnął po cygaro z wykonanej z miedzi i mahoniu szkatułki. Obciął je i przypalił od wielkiej miedzianej zapalniczki stojącej na biurku. Zająmował się tym dłuższy czas. O mój się nie troszczył. Kiedy skończył te przygotowania, oparł się wygodnie, wydymuchnął małą chmurkę dymu i powiedział:

— Jestem człowiekiem interesu. Nie mam wycieczki się wylądować. Z pańskiej wizytówki wynika, że jest pan licencjonowanym detektywem. Chcę wiedzieć jakiś dowód.



„WYJEJŻDZAM OTRZYMAĆ MEKSYKAŃSKI ROZWOD STOP WYCHODZĘ ZA CHRISA STOP NAJLEPSZEGO I DO WIDZENIA CRYSTAL“.

Położyłem to po mojej stronie biurka, a on podał mi dużą i bardzo ostrą fotografię amatorską, która przedstawiała mężczyznę i kobietę siedzących na plażku pod płazowym parasolem. Mężczyzna był ubrany w slippy, a kobieta w coś, co wyglądało na bardzo wyzywający biały kostium kąpielowy. Była to szczupła blondynka, młoda, ładnie zbudowana i uśmiechnięta. Mężczyzna był silnym, ciemnym, przystojnym facetem ze wspaniałymi barami i nogami, o bujnej ciemnej czuprynie i białych zębach. Ramiona do uścisków i inteligentna twarz. Trzymał w ręku ciemne okulary i uśmiechał się do obiektywu bezstroskim uśmiechem.

— To jest Crystal — powiedział Kingsley — a to jest Chris Lavery. Może go sobie mieć, a on może ją mieć i do diabła z nim.

Położyłem zdjęcie na telegramie.

— W porządku, więc o co chodzi? — zapytałem.

— W górach nie ma telefonu — ciągnął dalej Kingsley — i nie było nic szczególnego w tym, że ona tam wyjechała. Póki nie przyszedł telegram, nie zaprzętałem sobie głowy. Telegram bardzo mało mnie zdziwił Crystal i ja od lat jesteśmy poróżnieni. Ona żyje swoim życiem, a ja swoim. Ma własne pieniądze i to mnóstwo. Około dwudziestu tysięcy rocznie od rodziny, która posiada wartościowe pola nałogowe w Texasie. Crystal bawi się i wiem, że Lavery był jednym z jej kochanków. Mogłbym się nieco zdziwić, że chce wyjść za mąż akurat za niego, ponieważ ten facet jest po prostu zawodowym uwodzicielem. Ale ja razie wszystko wyglądało najzupełniej prawdopodobnie. Rozumie pan?

— A potem?

— Nic przez dwa tygodnie. Nagle hotel Prescott w San Bernardino skomunikował się ze mną podając mi wiadomość, że Packard zarejestrowany na nazwisko Crystal Grace Kingsley stł w hotelowym garażu i nikł się po niego nie zgłasza. Spytałem się, co z nim robić. Powiedziałem, żeby stał dalej i posłałem im czek. W tym również nie było nic szczególnego. Myślałem, że jeszcze nie wróciła, a jeśli w ogóle wychodziła samochodem, to w takim razie samochodem Lavery'ego. Jednak przedwczoją spotkałem Lavery'ego przy Klubie Atletycznym, tu za rogiem. Powiedział, że nie wie, gdzie jest Crystal.

Kingsley rzucił na mnie szybkie spojrzenie, wyciągnął butelkę i dwa kieliszki z kolorowego szkła. Nalał

Wstałem.

— Czy pan jest Derace Kingsley.

— A kim u diabła mam być?

Nie odpowiedziałem i podałem mu moją drugą wizytówkę, na której był wypisany zawód Zamknął ją w swojej kieszce i rzucił na nią ponure spojrzenie.

— Kto to jest M'Gee? — parsknął.

— To tylko kolega, którego znam.

— Jestem zachwycony — powiedział spoglądając na pannę Fromsett. To jej się podobalo. To jej się bardzo podobalo.

— A może jeszcze coś pan potrafi o nim powiedzieć?

— Owszem. Nazywają go fiolkowy M'Gee — powiedziałem. W związku z tym, że tuje pastylki na gardło, które pachną fiolkami. Jest to tegi mężczyzna o falujących srebrzystych włosach i słodkich małych usteczkach, jakby stworzonych do całowania dzieci. Kiedy go widziałem ostatnio, był ubrany w przyjemny niebieski garnitur, brązowe buty o szerokich noskach, szary filcowy kapelusz i palił opium w krótkiej fajeczce.

— Nie podobają mi się pańskie maniery — powiedział Kingsley głosem, którym można byłoby rozbić kokosowy orzech.

— Nie szkodzi! Nie mam ich na sprzedaż — odparłem. Zachnął się, jakbym mu podesunął pod nos zdechłą przed tygodniem makrelę. Po chwili odwrócił się do mnie plecami i rzucił przez ramię:

— Daję panu dokładnie trzy minuty. Licho wie, dla czego.

Przebiegł koło biurka panny Fromsett, pchnął drzwi i puścił mi je w twarz. Pannie Fromsett to się również podobalo, ale odniosłem wrażenie, że w głębi jej oczu czaił się teraz chytry uśmieszek.

Gabinet był taki, jakim gabinet być powinien: długi, mroczny i spokojny, z klimatyzacją, okna zamknięte, a szare weneckie żaluzje opuszczone do połowy dla powstrzymania lipcowego żaru. Szare story pasowały do szarego obicia. W rogu stała wielka czarnosrebrna kasa ogniotrwała i długi rząd niskich szaf na segregatory, również zharmonizowanych z otoczeniem. Na ścianie wisiała olbrzymia kolorowa fotografia jakiegoś starszego faceta z ostrym nosem i bokobrodami, w wysokim sztywnym kombinezonie. Jabłko Adama, które wystawało z kombinezonu, wyglądało bardziej kanciasto niż podbródek wielu ludzi. Na płycie pod fotografą był napis: „Matthew Gillerlain 1860 — 1934“.

Derace Kingsley pomaszerał szybko za swe warte

— Nasz domek stoi trzy mile od wsi, częściowo dojeżdża się tam drogą prywatną. Stoi przy prywatnym jeziorze. Nazywa się ono Jezioro Jonkown. Jest tam tamta, która zbudowaliśmy w celach irygacyjnych. Mam tę posiadłość do spółki z dwoma przyjaciółmi. Jest dość duża, ale nie zagospodarowana i oczywiście nie będzie jeszcze zagospodarowana przez pewien czas. Moi przyjaciele zbudowali tam domki. Ja też mam domek i niejaki Bill Chess mieszka tam bezpłatnie ze swoją żoną w drugim domku i dogląda posiadłości. Jest to inwalida wojenny żyjący z renty. To byłoby wszystko. Moja żona przybyła tam w połowie maja, wyjeżdżała dwa razy na weekendy, wyjechała dwunastego czerwca na jakąś zabawę i nigdy już się więcej nie pokazała. Od tego czasu jej nie widziałem.

— Co z związku z tym pan robił? — spytałem.

— Nic. Absolutnie nie. Nawet tam nie pojechałem. Czekaj, aż zapytam Deracego.

Cofnął fotel, żeby otworzyć zamkniętą szufladę. Wyciągnął złożony papier i podał go mi. Rozłożyłem go i zobaczyłem, że jest to białki telegraficzny. Był wypełniony w El Paso czternastego czerwca o godzinie dziewiętej dziewiętnastego rano, zaadresowany do Derace Kingsleya, 965 Carson Drive, Beverly Hills. Przeczytałem:

— Wstałem.

— Czy pan jest Derace Kingsley.

— A kim u diabła mam być?

Nie odpowiedziałem i podałem mu moją drugą wizytówkę, na której był wypisany zawód Zamknął ją w swojej kieszce i rzucił na nią ponure spojrzenie.

— Kto to jest M'Gee? — parsknął.

— To tylko kolega, którego znam.

— Jestem zachwycony — powiedział spoglądając na pannę Fromsett. To jej się podobalo. To jej się bardzo podobalo.

— A może jeszcze coś pan potrafi o nim powiedzieć?

— Owszem. Nazywają go fiolkowy M'Gee — powiedziałem. W związku z tym, że tuje pastylki na gardło, które pachną fiolkami. Jest to tegi mężczyzna o falujących srebrzystych włosach i słodkich małych usteczkach, jakby stworzonych do całowania dzieci. Kiedy go widziałem ostatnio, był ubrany w przyjemny niebieski garnitur, brązowe buty o szerokich noskach, szary filcowy kapelusz i palił opium w krótkiej fajeczce.

— Nie podobają mi się pańskie maniery — powiedział Kingsley głosem, którym można byłoby rozbić kokosowy orzech.

— Nie szkodzi! Nie mam ich na sprzedaż — odparłem. Zachnął się, jakbym mu podesunął pod nos zdechłą przed tygodniem makrelę. Po chwili odwrócił się do mnie plecami i rzucił przez ramię:

— Daję panu dokładnie trzy minuty. Licho wie, dla czego.

Przebiegł koło biurka panny Fromsett, pchnął drzwi i puścił mi je w twarz. Pannie Fromsett to się również podobalo, ale odniosłem wrażenie, że w głębi jej oczu czaił się teraz chytry uśmieszek.

Gabinet był taki, jakim gabinet być powinien: długi, mroczny i spokojny, z klimatyzacją, okna zamknięte, a szare weneckie żaluzje opuszczone do połowy dla powstrzymania lipcowego żaru. Szare story pasowały do szarego obicia. W rogu stała wielka czarnosrebrna kasa ogniotrwała i długi rząd niskich szaf na segregatory, również zharmonizowanych z otoczeniem. Na ścianie wisiała olbrzymia kolorowa fotografia jakiegoś starszego faceta z ostrym nosem i bokobrodami, w wysokim sztywnym kombinezonie. Jabłko Adama, które wystawało z kombinezonu, wyglądało bardziej kanciasto niż podbródek wielu ludzi. Na płycie pod fotografą był napis: „Matthew Gillerlain 1860 — 1934“.

Derace Kingsley pomaszerał szybko za swe warte

— Nasz domek stoi trzy mile od wsi, częściowo dojeżdża się tam drogą prywatną. Stoi przy prywatnym jeziorze. Nazywa się ono Jezioro Jonkown. Jest tam tamta, która zbudowaliśmy w celach irygacyjnych. Mam tę posiadłość do spółki z dwoma przyjaciółmi. Jest dość duża, ale nie zagospodarowana i oczywiście nie będzie jeszcze zagospodarowana przez pewien czas. Moi przyjaciele zbudowali tam domki. Ja też mam domek i niejaki Bill Chess mieszka tam bezpłatnie ze swoją żoną w drugim domku i dogląda posiadłości. Jest to inwalida wojenny żyjący z renty. To byłoby wszystko. Moja żona przybyła tam w połowie maja, wyjeżdżała dwa razy na weekendy, wyjechała dwunastego czerwca na jakąś zabawę i nigdy już się więcej nie pokazała. Od tego czasu jej nie widziałem.

— Co z związku z tym pan robił? — spytałem.

— Nic. Absolutnie nie. Nawet tam nie pojechałem. Czekaj, aż zapytam Deracego.

Cofnął fotel, żeby otworzyć zamkniętą szufladę. Wyciągnął złożony papier i podał go mi. Rozłożyłem go i zobaczyłem, że jest to białki telegraficzny. Był wypełniony w El Paso czternastego czerwca o godzinie dziewiętej dziewiętnastego rano, zaadresowany do Derace Kingsleya, 965 Carson Drive, Beverly Hills. Przeczytałem:

— Wstałem.

— Czy pan jest Derace Kingsley.

— A kim u diabła mam być?

Nie odpowiedziałem i podałem mu moją drugą wizytówkę, na której był wypisany zawód Zamknął ją w swojej kieszce i rzucił na nią ponure spojrzenie.

— Kto to jest M'Gee? — parsknął.

— To tylko kolega, którego znam.

— Jestem zachwycony — powiedział spoglądając na pannę Fromsett. To jej się podobalo. To jej się bardzo podobalo.

— A może jeszcze coś pan potrafi o nim powiedzieć?

— Owszem. Nazywają go fiolkowy M'Gee — powiedziałem. W związku z tym, że tuje pastylki na gardło, które pachną fiolkami. Jest to tegi mężczyzna o falujących srebrzystych włosach i słodkich małych usteczkach, jakby stworzonych do całowania dzieci. Kiedy go widziałem ostatnio, był ubrany w przyjemny niebieski garnitur, brązowe buty o szerokich noskach, szary filcowy kapelusz i palił opium w krótkiej fajeczce.

— Nie podobają mi się pańskie maniery — powiedział Kingsley głosem, którym można byłoby rozbić kokosowy orzech.

— Nie szkodzi! Nie mam ich na sprzedaż — odparłem. Zachnął się, jakbym mu podesunął pod nos zdechłą przed tygodniem makrelę. Po chwili odwrócił się do mnie plecami i rzucił przez ramię:

— Daję panu dokładnie trzy minuty. Licho wie, dla czego.

Przebiegł koło biurka panny Fromsett, pchnął drzwi i puścił mi je w twarz. Pannie Fromsett to się również podobalo, ale odniosłem wrażenie, że w głębi jej oczu czaił się teraz chytry uśmieszek.

Gabinet był taki, jakim gabinet być powinien: długi, mroczny i spokojny, z klimatyzacją, okna zamknięte, a szare weneckie żaluzje opuszczone do połowy dla powstrzymania lipcowego żaru. Szare story pasowały do szarego obicia. W rogu stała wielka czarnosrebrna kasa ogniotrwała i długi rząd niskich szaf na segregatory, również zharmonizowanych z otoczeniem. Na ścianie wisiała olbrzymia kolorowa fotografia jakiegoś starszego faceta z ostrym nosem i bokobrodami, w wysokim sztywnym kombinezonie. Jabłko Adama, które wystawało z kombinezonu, wyglądało bardziej kanciasto niż podbródek wielu ludzi. Na płycie pod fotografą był napis: „Matthew Gillerlain 1860 — 1934“.

Derace Kingsley pomaszerał szybko za swe warte

— Nasz domek stoi trzy mile od wsi, częściowo dojeżdża się tam drogą prywatną. Stoi przy prywatnym jeziorze. Nazywa się ono Jezioro Jonkown. Jest tam tamta, która zbudowaliśmy w celach irygacyjnych. Mam tę posiadłość do spółki z dwoma przyjaciółmi. Jest dość duża, ale nie zagospodarowana i oczywiście nie będzie jeszcze zagospodarowana przez pewien czas. Moi przyjaciele zbudowali tam domki. Ja też mam domek i niejaki Bill Chess mieszka tam bezpłatnie ze swoją żoną w drugim domku i dogląda posiadłości. Jest to inwalida wojenny żyjący z renty. To byłoby wszystko. Moja żona przybyła tam w połowie maja, wyjeżdżała dwa razy na weekendy, wyjechała dwunastego czerwca na jakąś zabawę i nigdy już się więcej nie pokazała. Od tego czasu jej nie widziałem.

